

DANIEL ODIJA

**TARTAK**

Wydawnictwo Czarne  
Wołówiec 2003

## POWIETRZE I NIE TYLKO

Nie tak dawno była tutaj burza. Zdarzyła się późnym wieczorem. Cień, jaki rzucały chmury, przyspieszył nadejście nocy. Takiej burzy nie pamiętał nikt, i nie była to wina pamięci, ale potężnej złości, jaka ogarnęła świat. Z pobliskich drzew szedł co chwilę dym, natychmiast gaszony przez strugi deszczu. Błyskawice kęsały linie wysokiego napięcia i zdarzało się, że wybuchał pióropusz iskier. Przypominało to noworoczne fajerwerki, tyle że iskry były bardziej żółte. To był ogień, a nie jakiś tam podwórkowy bajer. No i ten huk. Grzmiało, jakby jakaś niewyobrażalna siła wyginała gdzieś tam w górze olbrzymi płat nierdzewnej blachy.

Po godzinie trochę się uspokoiło. To znaczy przeszły grzmoty, ale pozostały błyski. Wciąż szumiała woda. Józef starał się nie patrzeć nikomu w twarz, bo gdy raz spojrział, akurat błysnęło. Na sekundę zrobiło się strasznie. Zobaczył twarz żony. Jej oczy zapadły w cień oczodołów, a zęby zbyt wyraźnie wysunęły się spod warg. Obnażyło ją trupie światło. Chyba chciała coś do niego powiedzieć. I te zęby jakoś tak wyszły jej na wierzch. Musiała i w jego twarzy zobaczyć coś, czego nie chciała ujrzeć, bo tylko otworzyła usta. Udało jej się wydukać jakieś takie, a... a... I właśnie wtedy Józef pomyślał, że pod twarzą, którą widzimy w świetle dnia, kryje się zawsze ta druga, ukryta później pod wiekiem trumny.

W mieście pozalewało ulice. Włazy do studzienek kanalizacyjnych strzelały jak korki od szampana. Na powierzchnię wypłynęły gówna. Woda sięgała ponad dachy samochodów. Pozakrywało, powyginało znaki drogowe. Pozalewało piwnice. Ludzie utknęli w mieszkaniach. Na szczęście trwało to zaledwie kilka godzin. Stąd też ofiar było niewiele. Podobno jednego faceta poraził prąd, gdy rozmawiał przez telefon. Poza tym trzy osoby umarły na zawał. Widać przstraszyły się przyszłości.

Od syfu, jaki pływał na wodzie, ludzie podostawali wysypki. Zaprzeczono jednak, by groziła epidemia. W telewizji do znudzenia i z jakąś sadystyczną satysfakcją pokazywano płaczących mężczyzn, którzy udowadniali, że z całego dorobku życia zostało im to, co mają na sobie. Kobiety to już w ogóle tylko wrzeszczały.

Tutaj woda nie wyrządziła żadnych szkód. Ziemia wszystko w siebie wchłoneła. Tylko te pioruny. Napędziły trochę strachu. Ale strach trwa przez chwilę i jeśli nie jest na tyle silny, by zakazić duszę, szybko się o nim zapomina.

Gdy burza przeszła, powietrze stało się jakby bardziej przezrocyste. Oddech wrócił do normy. Znowu można było o niczym nie myśleć. Tylko przyglądać się temu, co dookoła.

## TARTAK I NIE TYLKO

Domy stoją tutaj trochę oddalone od siebie. Z pierwszego domu nie można dostrzec drugiego, z drugiego trzeciego, a z trzeciego pierwszego. W tych domach mieszkają ludzie. Jest ich niewielu i rzadko się ze sobą spotykają. Widocznie nie mają takiej potrzeby.

Prawie cała ziemia została wykupiona przez Józefa Myśliwskiego. Nie miał jej od razu. Zdobył ją ciężką pracą. Nie wszystkim chciało się pracować. Myśliwskiemu praca nie przeszkadzała.

Gdy tutaj przyjechał, był pierwszym, który miał swój traktor. Miał też samochód, starego żuka, i odwagę, by za pożyczone pieniądze kupić klatki. Uwięził w nich piskliwie wyjące lisy – na skóry, z których szyto puszyste futra.

Wstawał o świcie. Czy piątek, czy świętek. Trzeba było nakarmić zwierzęta. Mieszał dla nich zmielone ryby ze sproszkowanymi witaminami. Po karmę jeździł tym swoim żukiem aż do miasta. Dodatkowo obrabiał pole. Nic wielkiego. Trochę żyta, może trochę kartofli. Dla tych kilku świń, co je trzymał na święta i dla małego stadka krów, z których mleko. Zawsze też uzbierało się coś na skup.

Harował jak wół. Oddał dług i miał coraz więcej pieniędzy. Nie przysporzyło mu to przyjaciół. Bo ledwo taki przyjechał, a już kręci się jak smród po gaciach. A zresztą taki, co ma pieniądze, to musi być złodziej.

Raz wracał z pola traktorem i zobaczył starego dziada. Dziad stał pośrodku drogi, tak że Myśliwski w żaden sposób nie mógł go wyminąć.

– Co tam, człowieku? – starał się być uprzejmy. – Może byś się ruszył?

– Tfu! – dziad splunął pod koła.

Józef Myśliwski wyłączył silnik i wysiadł z traktora.

– Czy wiesz, że to wszystko będzie moje? – powiedział do dziada, od niechcenia wskazując na pola.

Dziad łypnął na niego bielmem chorych oczu. Myśliwski dostrzegł w nich nienawiść, która musiała drążyć go od środka. Wytrzymał spojrzenie, a potem podszedł do dziada tak blisko, że prawie dotknęli się nosami. Musiał się przy tym pochylić.

– Ty mnie tu, dziadu, nie czaruj, do kurwy nędzy! – syknął. – Bo nie takich jak ty przerabiałem na nawóz.

Wrócił do traktora i gdy uruchomił silnik, krzyknął:

– No, a teraz spierdalaj, bo rozjadę! – i ruszył.

Dziad ledwo uskoczył.

– Tfu! – splunął za Myśliwskim. – Na psa urok.

\*

Wyglądało na to, że Józef Myśliwski nie lubił swojej żony, ale dała mu syna, to trzymał ją przy sobie. Zresztą potrzebował kogoś do roboty. Maria Myśliwska bała się męża. Była drobną i cichą osobą, ciągle przepracowaną. Miała długie włosy, ale wkrótce po porodzie je ścięła, twierdząc, że gdy rodziła Krzysztofa, włosy ją dusiły. Poza tym była przekonana, że długie włosy zdradzają. Walają się wszędzie i wtedy widać, ile nam ich tak naprawdę wypada i jak szybko się starzejemy. Krótkich nie ubywa wcale mniej, ale nie widać tak tego, i człowiek nie skupia się tak na swoim rozpadzie.

Józef często wypominał Marii, że nie stać jej było na więcej. Urodziła mu tylko jednego syna, który przez te wszystkie lata nieco już podrośł, ale co z tego, że podrośł, skoro był jeden. Z jednego armii nie zbierzesz.

Maria pamiętała swój poród, choć czasami miała wrażenie, że wszystko jej się przysniło. Józef właśnie robił w polu, a ona jak zwykle pociła się przy lisach. Łopatą wybierała spod kłatek lisi syf i zrzucała do taczki. Bardzo jej w tym przeszkadzał brzuch, który urósł w wielki bochen. Gdy złośliwy ból kopnął ją w podbrzusze, zrozumiała, że się zaczęło. Lisy były wyraźnie zaniepokojone. Nerwowo wąchały niewidzialne smugi w powietrzu. Zaczęły szczekać piskliwie, jak przerażone małpy, i brzmiało to niczym krzyk rannych. Maria wiedziała, że musi gdzieś się schować. Najbliżej była obora.

Tutaj upadła w błoto. Na kolana, a z kolan na plecy. Miała wrażenie, że błyszczące melasą pyski nachyliły się nad nią. Widziała nad sobą duże jak dłonie oczy, a w tych oczach łzy, które zastygały, w owalne kryształki. Chciała wierzyć, że ktoś jej współczuje.

Długo walczyła. Była zbyt słaba, by załatwić sprawę od razu. Kilka razy już chciała zrezygnować z siebie i próbowała przestać oddychać, ale kłujące skurcze budziły ją na nowo. Gdy Józef zajechał na obiad, wciąż się męczyła. Udało jej się dopiero w miejskim szpitalu, gdzie rozcięli ją jak rybę i wyciągnęli omdłego Krzysztofa.

\*

Ostry śwąd lisich odchodów niósł się na całą okolicę. W nocy lisy wyły z tęsknoty za wolnością. Siatka klatek szatkowała im świat na drucianą mozaikę. Instynktownie próbowały ją przegryźć. Ale gdy jednemu w końcu się udało, stał przez jakiś czas kompletnie oglupiały nad dziurą w podłodze. Zauważył to Myśliwski. Kopnął kilka razy w dolną siatkę i wtedy lis chyba zrozumiał, że wymyka mu się szansa ucieczki. Maria przyniosła mężowi kawałek drutu i Józef szybko załatał dziurę. Lis szczyrzył żółte kły, ale na tym się skończyło.

Bo to nie były dzikie lisy. Od kilku pokoleń hodowane na futra, straciły w klatkach swój legendarny spryt. Puszyły się za to srebrnym włosiem, przypalającym czernią lub przypiórszonym polarną bielą. Ale choć wyglądały na otepiałe niewolą i poza niewolą nic nie знаły, ich bystre oczy wodziły za ludzką ręką, by rozgryźć jej kość.

Małe nie były tak czujne. Naiwnie szukały wzroku człowieka i potwierdzenia, że życie jest dobre. Gdy Maria patrzyła na nie, miała ochotę wziąć takiego jednego, przytulić i delikatnie drapać w futrzany kark. Ale Józef nie pozwalał żadnego oswoić. Później szkoda byłoby takiego zabić, a przecież nie robił przy nich dla przyjemności, ale dla futer.

Krzysio, który jeszcze nie zdążył dobrze wrosnąć w życie, pokochał jednego takiego liska. To był ten, którego bardzo pogryzły inne małe. Trzeba go było odłączyć i podawać antybiotyki w jedzeniu. Krzysio po kryjomu otwierał klatkę i brał go na ręce. Lisek nie wrywał się, nie gryzł, tylko tulił mu się do piersi i lizał go po rękach jak kociak.

Któregoś dnia, gdy Krzysio przyszedł do klatki, liska w niej nie było. Zaczął krzyczeć na ojca, gdzie się podział, bo dobrze wiedział, co ojciec robi z lisami. Ale ojciec mówił, że mały wyzdrowiał i ma się dobrze. Nie chciał jednak pokazać, który to. Krzysio nie potrafił poznać go wśród innych. Były ich dziesiątki i wszystkie do siebie bardzo podobne.

A później, gdy już podrosły, ojciec zabijał je prądem. Krzysio nie wiedział, który to jego. Nie wiedział, kiedy zacząć płakać i z tego wszystkiego zapomniał w ogóle o płaczu, a przecież było mu bardzo smutno. Zapamiętał jednak to sobie. Nigdy nie wybaczył ojcu, że po kryjomu zabrał mu liska. No i na kilka dobrych lat zapomniał, jak się płacze.

\*

Po kilku sezonach Józef Myśliwski musiał zlikwidować hodowlę. Interes skończył się, gdy przyszła moda na sztuczne futra. Miał jednak trochę odłożonych pieniędzy, które zarobił na lisach i sprzedaży klatek. W miejsce farmy posadził jabłonie. Nie interesował się nimi i szybko mu poschły. Za to kupił od sąsiadów dużo ziemi. Musiał jednak coś robić, żeby mieć więcej. A żeby mieć więcej, musiał coś jeszcze wymyślić.

Mruczał pod nosem, że lasów dokoła w pipę. I te lasy nie dawały mu po nocach spać. Tyle drzew, a ludzie narzekają, że nie mają z czego żyć, i że drzewa to nic, tylko wrzód na tyłku, bo zabierają ziemię. Nikt nic nie robił i one tak bezczynnie stały Myśliwski zastanawiał się chyba przez rok, aż w kraju zaszły zmiany i można już było zaciągać całkiem duże kredyty. Józef Myśliwski dostrzegł w tym szansę dla siebie. Za pieniądze z kredytów założył tartak. Sprowadził używane maszyny z Niemiec i odtąd cały swój czas spędzał w tartaku. Miał go dla siebie.

\*



Gdy rozległ się wysoki dźwięk piły, który boleśnie ciął ciszę na plastry, wiadomo już było, że Józef Myśliwski stanie się bogatym człowiekiem. Miał kilku znajomych, nie tutaj, ale w mieście, którzy pomogli mu znaleźć zbyt na drewno. Teraz Myśliwski śmiało mógł zatrudniać ludzi. I może dlatego ludzie przyzwyczaili się do niego, bo niektórym dawał robotę.

Tutaj brakowało tartaku i szybko znaleźli się klienci, co chcieli pozbyć się kilku drzew. Pierwszy Sękowiak znalazł jeziora. Dostał ziemię po rodzicach, a że jego pięć siostr i trzech braci wyjechało i zamieszkało w Niemczech, to cała ziemia należała do niego. Biedna to była ziemia. Nie dlatego, że mało urodzajna, ale dlatego, że pod opieką Sękowiaka. Śmierdziało od niego leniem. Wciąż kombinował, jak by tu zrobić, żeby się nie narobić, a zarobić.

No i wymyślił. U Myśliwskiego tartak, a u niego dużo drzew. W ciągu dwóch lat wyciął wszystko, co mógł wyciąć. Pozostały tylko drzewka, których średnica pnia była zbyt mała na przerób. W ten sposób zbierał trochę pieniędzy, tylko że zaraz je przepił, bo lubił pić. Wtedy też wymyślił, że przecież może dzierżawić ziemię ludziom z miasta, którym tak bardzo spodobało się nad jeziorem. Tak też zrobił. Chętnych było dużo. Szybko z ziemi Sękowiaka zrobili gnój. Tyle że on w tym gnoju dobrze się czuł.

Sękowiak ciął, a tartak rznął. Sękowiak chwalił się, jaki to robi interes, bo nie musi nic w niego wkładać. Przecież drzewa same rosną, a pieniądze z nich są. Twierdził, że jego lasy wreszcie na coś się przydały. Za jego przykładem zaczęli wycinać wszyscy. Przez jakiś czas żyli za pieniądze z drzewa, a w końcu za bezcen sprzedawali Myśliwskiemu ziemię. Niektórym pozostało tylko podwórko z domem. Inni przynosili się do pegeerów, albo jeszcze dalej, do miasta, bo nie za bardzo chciało im się robić, a nawet jeśli by się zachciało, to już nie mieli gdzie. Chyba że u Myśliwskiego, ale u niego miejsca już były zajęte.

Taki to tutaj kręcił się interes. Tartak rósł w siłę. Myśliwski za nowe kredyty dokupił dużo maszyn i teraz już miasto mu nie wystarczało. Musiał zasypać swoim drewnem całą Polskę. A do tego potrzebny był człowiek, który potrafiłby przekonać innych, że to właśnie drewno Myśliwskiego należy kupować. Jakiś wykształcony koleś z miasta, nie żaden wieśniak, który boi się wyjść poza własną zagrodę. Dlatego Myśliwski ogłosił w gazecie lokalnej konkurs na przedstawiciela handlowego.

Przyszło ich kilku, młodych i z twarzy cwanych. Myśliwskiemu spodobał się jeden, Marcin Panek. Przedstawiał się naprawdę nieźle. Biegły angielski, doktorat z ekonomii, obeznany z warunkami panującymi na krajowym rynku. Na drewnie nie bardzo się znał, ale wcześniej sprzedawał jakieś wielkie ciężarówki i podobno nieźle mu szło. Wiadomo, recesja: firma, w której pracował, padła i teraz szukał pracy, nawet poniżej swoich kwalifikacji. Zresztą elegancki i bez zarzutu. Tak inteligentny i pewny siebie, że aż przystojny. Brunet, zawsze gładko ogolony z cieniutkim paskiem równo przystrzyżonej bródki, mógł podobać się kobietom. Spodobał się Myśliwskiemu, oczywiście nie dlatego, że był przystojny, ale dlatego, że był pewny siebie, a to u przedstawiciela handlowego główny atut.

Myśliwski, który raczej nie ufał ludziom, z miejsca zaufał zdolnościom Marcina Panka. Dał mu firmową komórkę i samochód na wyjazdy. Oczywiście, samochód trzeba było spłacić, ale Myśliwski wierzył, że dzięki Pankowi sprzedaż drewna wzrośnie, i będzie czym spłacać. Nowe zamówienia potrzebne mu były jak powietrze. Zapchał już miasto i okolice swoim drewnem i na razie nie miał gdzie sprzedawać reszty.

I stało się tak, że Marcin Panek zaczął jeździć po kraju. Myśliwski był zadowolony z nowego pracownika. Panek przywoził mu od czasu do czasu jakieś małe zamówienie i choć łączna ich suma nie pokrywała wydatków tartaku, nie mówiąc już o spłacaniu kredytów, Myśliwski wierzył w zdolności organizacyjne Panka, tym bardziej że ten gwarantował mu wielkie zamówienia, które miały dojść do skutku za jakieś pół roku. Pół roku to dla Myśliwskiego było trochę dużo, ale wiedział od Panka o jego powiązaniach politycznych w całym kraju, a przecież w interesie nie ma nic lepszego jak układy. Panek takie układy miał, a to gwarantowało sukces, czyli potężne zamówienia. A potężne zamówienia to wielkie pieniądze.

Wrodzony optymizm już teraz podpowiadał Myśliwskiemu, że niedługo każdy tutejszy krzak będzie jego. I jak tylko mu się zachce, to za sranie po krzakach będzie brał takie kary, że delikwent, którego przypili, najpierw dwa razy się zastanowi, zanim ściągnie gacie. Takie przecież jest prawo właściciela ziemi. Banki, w których Myśliwski był zadłużony, swoje wiedziały.

\*

Wnętrze drzewa, gdy się je przetnie na pół, zastygłe jest w kręgach. Brak w nim ruchu okrągłych fal, wywołanych upadkiem kamienia w wodę. Jelita drzew są nieruchome, lecz każdy ich zwój określa przepływ czasu od nasienia do ścięcia. W tym bezruchu zdrewniałych pierścieni zapisana jest historia wiatru i wody, powietrza i światła, wszystkiego co ruchome.

Dla człowieka, którego wewnątrz pulsuje krwią i mięsem, bebechy drzewa są martwe. I chyba dlatego próby odczytania tego, co przez te wszystkie lata działo się z drzewem, wokół drzewa i w drzewie, nigdy się nie powiodą. Z braku wspólnego języka i wyobraźni muszą opierać się na domysłach, w których nie znajdzie się ani jedna myśl jednocząca świat roślin ze światem zwierząt.

Drzewo cięte wół brzmi krótko. Dopiero gdy piła przechodzi przez nie wzdłuż, piszczy wysoko i zgrzytliwie. Jest to jednak głos zbyt odległy od głosu zwierzęcej krtani, by się nim przejmować. Co najwyżej wywołuje dreszcze, bo brzmi tak niehumanie. Dźwięk niczym czas, który poczyna sobie z nami jak chce i nic sobie z tego nie robi. Podobnie jak my nie robimy sobie nic z ciętego drzewa. Chyba że meble albo ciepło, które zawsze czuć tylko przez chwilę.

## **POLA I NIE TYLKO**

Tutaj z dwóch stron nachyla się las. Drzewa są tak blisko, że ocieniają okna. Pozostałe strony świata otwierają się na pola. Pola są płaskie jak tafla jeziora, jeśli jest lato. A jeśli zima, pola są płaskie jak lodowiska. Wzrok ślizga się po nich i rozbija o własne ograniczenia, które nie pozwalają zobaczyć dalej, poza horyzont. Od horyzontu zawsze wieje wiatr. Rozpędza się na odkrytej przestrzeni i uderza na odlew w twarz. Wyciska łzy i nie jest to przyjemne.

Zaorane pola są puste. Na takich polach ziemia jest lżejsza. Nie trzymana przez żadne korzenie. Z takiej ziemi wiatr skręca ulotne wiry. Nie istnieją dłużej niż pojedynczy podmuch. Unicestwia je chwila na nabranie oddechu i kurz bezwładną falą sypie się w dół.

Dużo tu pól obsadzonych zbożem – trochę pszenicy, prosa – albo rzepakiem. Wtedy przed oczami robi się żółto. Zapach rzepaku jest tak silny, że przechodzi w duszący smród. Kiedyś jedna dziewczyna weszła w takie pole. Szybko zmorzył ją sen, z którego już nigdy się nie obudziła. Znalaziono ją po kilku dniach. A całe nieszczęście przez odurzającą woń rzepaku.

Są też pola truskawkowe. W upalne dni lata kobiety z różnych stron zwabia zapach owoców, za zebranie których dostają grosze potrzebne na chleb. Kobiety tkwią, schylone do ziemi – i nie ma nic pociągającego w ich wypiętych tyłkach. Są zmęczone. Słońce parzy im głowy, a pot zwabia owady, które lepią się do skóry i wgryzają w ciało. Przez te kilkanaście godzin, od piątej rano do wieczora, kobiety widzą tylko ziemię i zielone krzaczki. Delikatnie zrywają z nich truskawki. Nie można ich zgnieść. Zapach ziemi staje się nie do zniesienia, zwłaszcza że słońce wciąż parzy, a kurz wysusza gardło. Chciałoby się wypluć coś, czego tak naprawdę nie ma. Brakuje śliny. Jeść się nie chce.

Kobiety nie plotkują. Szkoda sił na słowa. Zapełniają koszyki w milczeniu. Dłonie mają zabarwione czerwonymi plamami, które nie zejdu jeszcze przez kilka godzin. W nocy cicho pojękują. To odzywają się kości. Bole, jakby obudziło się w nich życie. Jakby z tego bólu chciały wybrać się na wycieczkę, pozostawiając na łóżku bezwładny worek pełen żył i mięśni. Zmęczenie jednak jest tak wielkie, że pomimo bólu zapadają w krótkie, nerwowe drzemki. Co jakiś czas zrywają się, złane potem. W snach też harują na polu.

Sny kończy początek dnia. I znowu wszystko od nowa. Trzeba tylko wykonać nieco inne czynności, w nieco innych okolicznościach. Zacznie padać albo będzie większy upał. Może się ochłodzi, a w końcu dojdzie do tego, że wyschną liście i spadnie śnieg. Zamiast truskawek będzie wybieranie kamieni albo zbieranie jagód w lesie. W każdym razie dzień skończy początek nocy.

Ale w nocy pola wywołują strach, który przeszkadza w oddychaniu. Bo pusto jest przed nami i pusto za nami, nad głową przestrzeń, której obawia się wyobraźnia, a stopy stoją na ziemi, która od zawsze ma na nas ochotę.

Na polu leżeli Alek i Staszek. Obok stał ciągnik z przyczepą do połowy napełnioną kamieniami.

– Te, Alek, co ty właściwie robiłeś w tej Ameryce? – zagadnął Staszek.

– Czarnule waliłem – odpowiedział Alek.

– Serio?

– Yhy.

Staszek jakby coś przeżuwał. Wreszcie powiedział:

– I jak z nimi było?

– Z czarnulami?

– Nooo...

– Jak z białymi.

Staszek skrzywił się, ale już o nic nie pytał. Pewnie by tak leżeli do końca dnia, ale po jakimś czasie zobaczyli chmurę kurzu, która wyraźnie zbliżała się w ich stronę. Chmura wydawała z siebie szum nierównomiernie pracującego silnika.

– Tosiek jedzie – stwierdził Staszek. – Z szefem to jeszcze można się dogadać, ale nie z Tośkiem – dodał po chwili.

– Szefa mam w dupie, a Tosiek może mi skoczyć – mruknął Alek. – Ale ten dżip bardzo mi się podoba. Dobity, bo dobity, ale zawsze coś – westchnął.

– Yhy.

– I popierdala jak ruski postęp.

– Yhy.

Dżip zatrzymał się tuż przed nimi. Zakurzyło się spod kół. W powyginanym zderzaku odbijały się zniekształcone twarze. Staszek zerwał się na równe nogi. Alek nie ruszał się z miejsca. Leżał jak leżał. Zderzak prawie dotykał jego głowy. Z samochodu wyskoczył Tosiek. Wysoki i chudy, z pożyczką misternie wymodelowaną i przyklepaną, tak by nie było widać, że łysieje.

– No i co, robota w tyłki kłuje?

– Kłuje, nie kłuje – Alek udawał, że dopiero teraz go zauważył. Powoli podniósł się, wyprostował i z ociąganiem otrzepał z ziemi. Każdy jego ruch miał w sobie coś wyzywającego. – Paliwa zabrakło.

– Paliwa zabrakło?

– Zabrakło – Alek przymknął jedno oko, jakby patrzył pod słońce, a nie na Tośka.

– To od czego jest wskaźnik? – zdenerwował się Tosiek.

– Zepsuł się – Alek strzyknął śliną przez zęby.

– Zepsuł się?

Tosiek wskoczył do kabiny. Przez chwilę próbował odpalić. Silnik zakasłał i zamilkł.

– Jesteście pewni, że to ropa? – spytał, gdy przy nich stanął.

– A co innego? – ziewnął Alek.

– A ty co tu, kurwa, robisz? – Tosiek zaatakował Staszka. – Czemu nie w tartaku?!

– Ja, ja... – zająknął się Staszek.

– On mi pomaga – spokojnie powiedział Alek.

– Zbierać kamyki to możesz sobie sam. Jego miejsce w tartaku.

– Tosiek, uważaj, jak szczekasz – wycedził Alek.

Tośka w pierwszej chwili zatkało.

– Co?! – bezwiednie wyszło z niego.

– Powiedziałem – Alek patrzył trochę w bok.

Tosiek nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Coś ci przeszkadza? – spytał zdecydowanie, na tyle jednak ostrożnie, by nie zaostrzać sytuacji.

– Nieee... ale... uważaj... – leniwie odpowiedział Alek.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Staszek, kurwa, do samochodu! – syknął Tosiek. A gdy już siedzieli w dziupie, krzyknął w stronę Alka:

– Przywiozę paliwo! A niech zobaczę jakąś flaszkę!



Koła zabuksowały, aż posypała się ziemia. Alek powoli sięgnął do kieszeni. Była w niej paczka papierosów. Była też rączka noża sprężynowego. Palce ześliznęły się z noża i chwyciły paczkę.

\*

Był czas, że Myśliwski miał jedyne wideo w okolicy. Żniwa wtedy kosztowały go niewiele. Właściwie nic. Umawiał się z chłopakami, że przyjadą na kombajnach i obrobią mu pole. Miał kilka kaset po niemiecku, bo tylko takie były. Chłopakom to nie przeszkadzało. Zresztą filmy, jakie mieli obejrzeć, nie obfitowały w wyszukane dialogi. Nie o dialogi się rozchodziło.

Wieczorem, gdy już trochę ich zmogło, przychodzili do Myśliwskiego na kolację. Siadali przed telewizorem, a Maria, cicho przemykając, podawała do schłodzonej wódki dużą jajecznicę na smażonym boczku z cebulą. Jedli z ciężkimi głowami i wyglądało, jakby na te głowy padał deszcz. Bo chyba trochę niepewnie czuli się na chwilę przed wtajemniczeniem, jakiego oczekiwali. Myśliwski nie czekał. Jeszcze zanim rozległo się stękanie, już rozlewał wódkę. Do czterech kieliszków. Wódka szybko rozwadniała krew i ta krew rozpędzała się w żyłach. Pulsowała w głowie i bezwstydnie tłoczyła się w kroczu. Chłopaki pili tak, by nie stracić nic z tego, co wiło się na ekranie. Któryś coś bąknął, inny przytaknął, jakieś niedokończone słowo spadło pod ciężkie buty.

Ciemna Gertruda dogadzała trzem blondynom i była wielka jak stodoła. Kombatantom błyszcząły oczy. Któryś nerwowo zachichotał, ale śmiech utonął w basowym posapywaniu pozostałych. Myśliwski coś tam bąknął, że ta gruba jest niezła. Zgodnie przytaknęli i zakropili kolejną wódką. „Dobre sobie”, powiedział ten najbardziej zmęczony i chyba lekko przysnął, a wtedy nad jego głową unosiły się zjawy nagich ciał. Mieszały się z gęstą zawiesiną dymu papierosowego i choć okno było otwarte, cały ten kogel-mogel gryzł w oczy. Któryś chciał splunąć w bok, bo właśnie zobaczył na ekranie coś, o czym nie śniło się jemu i jego starej, ale powstrzymał się i przełknął.

W następnym filmie zdruzony grubasek sikał na zgrabną brunetkę, która siedziała w wannie i udawała, że sprawia jej to przyjemność. W dodatku tak głośno jęczała pod strugą moczu, że chłopcy po kolei wychodzili do łazienki. Wracali trochę spokojniejsi, a Myśliwski każdego poklepywał po plecach, bo już się cieszył na myśl, że wódka i pornole spląca mu całe żniwa.

\*

Marta lubiła chodzić. I zawsze chodziła polami. Stanowiły dla niej przestrzeń, która łączyła jedne domy z drugimi o wiele szybciej niż zawile drogi. Bała się dróg. Przy drogach stały domy, a przy każdym domu były psy, które ją przerażały. Może dlatego jedyne, o czym śniła, to ich zakrwawione pyski, i już nie wiedziała, czy strach przed psami zarażał ją każdej nocy tym samym snem, czy to ten sen sprawił, że bała się psów.

Marta była bardzo chuda i twarz pokryły jej gęste zmarszczki. Były tak gęste, że nikt nie potrafił powiedzieć, ile miała lat, choć każdemu wydawało się, że nie może być stara. Sama Marta nie wiedziała, czy jest stara, czy młoda.

Miała długie nogi i ręce. Wyglądała przez to jak pokraka, którą połamie najłżejsze dmuchnięcie wiatru. Nawet latem ubierała się w wełnianą sukienkę i chodziła w zielonych kaloszach. Gdy odparzyła sobie stopy, zostawiała kalosze w domu i chodziła boso. Mieszkała z bratem, który całymi dniami nie ruszał się z łóżka i żarł garściami kolorowe tabletki. Często skarżyła się na niego, że nic nie robi, tylko śpi. Nie wiedziała jednak o nim tego, co wiedziało wielu. Był schizofrenikiem i by jego strachy nie zagrażały jemu i siostrze, którą podobnie jak wszyscy uważał za skończoną idiotkę, musiał ciągle spać. Umożliwiły mu to właśnie kolorowe tabletki.

Rzeczywiście, Marta nie należała do zbyt bystrych osób. Nie miała wiele do powiedzenia. Najwyżej bezmyślnie powtarzała zasłyszane plotki i zawsze przekręcała je tak, że ciężko było z nich cokolwiek zrozumieć. A jednak, gdy przychodziła, stawiano przed nią szklanekę taniego wina, bo nikomu nie przeszkadzała.

Właściwie nie odgrywała żadnej roli w życiu ludzi, których znała. Może czasami wzbudzała w nich dawno zapomniane uczucie litości. Może też ludzie trochę jej potrzebowali. Przy niej czuli się lepsi, mądrzejsi, bo przecież większej idiotki od Marty nie było.

Nawet nie warto byłoby wspominać o Marcie, gdyby nie pewna sprawa z nią związana. O tej sprawie przez jakiś czas mówiono nie tylko tu, ale i w mieście. A to już jest coś.

Z początku mówiono o tym tylko tutaj. Młody chłopak z miasta, który niedaleko stąd pracował na słupach wysokiego napięcia, zrobił Marcie dziecko! Nie bardzo w to wierzone, ale szybko się wydało, że to prawda. Któregoś wieczoru chłopak wracał zupełnie pijany z „Zagrody” i zobaczył akurat przechodzącą Martę, a że było ciemno, to chłopakowi mogło się coś pomylić. Rzucił się na Martę i zgwałcił ją pod kapliczką z Błękitną Madonną, która smutno, ale z miłością patrzyła na deliryczne podrygi. Marta nawet nie krzyknęła, bo leżąc pod rżącym chłopakiem, poczuła, że właśnie pochłania ją najpiękniejsza przygoda życia. Później chodziła pod słupy i chłopak nie mógł się od niej opędzić. Wreszcie okazało się, że Marta jest w ciąży. Nic, tylko z tym chłopakiem!

No i na tym by się skończyło. Chłopak wróciłby do miasta, a Marta urodziła bękartą. Tylko że na jeden dzień przed skończeniem robót chłopak źle dotknął drutów i spaliło go na szerniąłą zapałkę. Wtedy się zaczęło! Teraz gadano nie tylko tutaj, ale i w mieście, bo okazało się, że chłopak był synem zamożnej kobiety, która w mieście prowadziła jakiś duży interes i ostatnio pokłócili się ze sobą, i matka powiedziała mu, że już nigdy nie dostanie od niej na życie. Wtedy chłopak uniósł się honorem i zaczął robić przy drutach, a teraz gdy już nie żył, matka opłakiwała go i podobno bardzo żałowała tej kłótni. To był jej jedyny syn i ona bez syna to już naprawdę była sama na tym świecie.

Z miasta przyjechali z kamerą. A co? A dlaczego? A gdzie to się stało, pytali dziennikarze. A tu, tu i tu, odpowiadali ludzie. A gdzie to będzie, pytali ludzie. A w telewizji, w kablówce miejskiej, odpowiadali dziennikarze. No, to wtedy taka jedna z pegeeru, pewnie ujęta wzajemną szczerością, nie wytrzymała i powiedziała, że to jeszcze nie wszystko. Poszli do Marty. Sfilmowali ten jej brzuch. Dwóch musiało ją przytrzymać, bo wyrывała się i wrzeszczała tak głośno, że aż ptaki gdzieś poleciały i wróciły dopiero za kilka dni. No, ale w telewizji była!

Tylko że Marta bardzo się tego wszystkiego przestraszyła. Rozbolał ją brzuch i z tym bólem nie mogła usiedzieć w domu.

Bardzo drażniło ją skomlenie brata, który nie chciał bękart w domu, bo potrzebny mu spokój i jeszcze raz spokój, a jak będzie bękart, to wiadomo, spokoju nie będzie. I Marta z tym bólem brzucha poszła w pola.

Szła tak i szła, aż w końcu musiała przystanąć. A gdy już upadła i zerwał się wiatr, to zasypywał ją pył ziemi. Niebo pociemniało od chmur i spadły na nią twarde krople deszczu. Każda taka kropla przynosiła ulgę. Jedna z drugą rozbijały się o popękane usta i wsiąkały w te usta jak w spieczoną ziemię. I ożywiały pomarszczoną twarz, którą wygładził wysiłek i ból.

A potem Marta zobaczyła swoje dziecko. Było tak małe, że nie przypominało człowieka. Przytuliła je mocno do siebie i próbowała podnieść bezwładną główkę, która zsuwała się gdzieś w bok. Wyciągnęła pierś, ale dziecko nie chciało ssać. Nie płakało, to zaczęła płakać Marta. Płakała głośno. Nic nie zatrzymywało jej zawodzenia. Żadne ściany i sufity, żadne spojrzenia, przed którymi głupio. Nic. Dookoła rozchodziły się pola. Tylko pola. A przez to, że była noc, pola zdawały się jeszcze większe i nieskończone. I ta nieskończoność wpychała Martę w jeszcze większe szaleństwo i bezradność, aż plątał się rozum ludzki i z braku oparcia spadał w dół, coraz szybciej i szybciej...

\*

Po tym wszystkim Marta siedziała całymi dniami w domu. Patrzyła przez okno i uśmiechała się do przestrzeni, która pochłonęła jej umysł. W rękach kołysała nieobecne dziecko. Nuciała mu wymyślone przez siebie piosenki. Czasami delikatnie wyciągała zwiotczałą pierś i karmiła nim powietrze, które krzywiło się do niej bezzębnymi ustami, wtulało łysą główką i spoglądało na nią wiecznie zaspanymi oczami.

Marta była szczęśliwą matką nowo narodzonego dziecka. Z jej twarzy nie schodził rozmarzony uśmiech, który jednak natychmiast zniknął, gdy podchodził do niej brat. Wtedy Marta uciekała w kąta i z przerażeniem spoglądała na nachylającego się nad nią mężczyznę.

– Siostrzyczko moja – łagodnie zaczynał brat. – Z tobą jest teraz chyba gorzej niż ze mną. Co ty takiego widzisz, że się mnie boisz?

I gdy tak do niej mówił, Marta bąkała, że wygląda tak blado i chudo jak śmierć jakaś i że pewnie chce zabrać jej dziecko, bo tak strasznie patrzy, ale ona mu dziecka nie odda, i wtedy mocniej ścisnęła ręce przy piersi, jakby chowając coś przed bratem.

– Wiesz, ile razy widziałem ciebie strasznie i to tak strasznie, że za siekierę tylko bym chwycił i ściął łeb? Zawsze mało brakowało i dobrze, że zostawałem sam, a ty szłaś sobie, jak cię tam niosło... Ale teraz, gdy siedzisz tutaj tak całymi dniami, to kto wie, czy twoje szaleństwo nie leczy mnie z mojego, tak jakbym zaraził ciebie, sam dzięki temu zdrowiejąc. Wiesz przecież, że uczyłem się kiedyś dużo i szukałem... szukałem... sam nie wiem czego. Aż zostałem sam ze sobą i bałem się całego świata, choć przecież kiedyś byłem tak bliski wyjaśnienia jego tajemnic, ale okazało się, że głupi tylko byłem...

I w miarę jak mówił, zaczynał przyspieszać, a jego słowa łały się z niego jak potok górski. W oczach Marty brat zionął ogniem i wtedy naprawdę się bała. Twarz zachodziła mu cieniami i choć przemowa rozpogadzała go, to tylko na chwilę, bo przy każdym następnym oddechu znowu pogrążał się w mroku, przez który przebijały błyszczące oczy, straszne oczy!

– Każdy szuka swojego Boga, a ja szukałem Boga dla wszystkich...  
– zaciął się i nerwowo potarł czoło. – Zaraz, zaraz, co to ja chciałem. Wiedziałem, ale pomyliłem się – był wyraźnie zakłopotany. – Aha! – nagle odkrycie wygładziło mu twarz. – Tak więc szukałem tego Boga i znalazłem! Ale wtedy zapomniałem o swoim Bogu, a bez swojego nie można być pewnym Boga dla wszystkich i gdy zwątpiłem, poznałem, co to samotność!

I stał tak przed Martą, krzyczał w sufit i machał rękami, a w kącikach jego ust skupiały się drobne pęcherzyki śliny, jeden przy drugim, jak rybia ikra. W oknie za plecami brata pulsowała przestrzeń pól, które pęczniały i wysychały w oczach Marty jak zaogniona rana, tak przerażająca i bolesna, że już nic nie pozostało, tylko śmiech z tego, że tak boli. Chichot Marty zawsze zaskakiwał brata. Ten chichot był tak nie na miejscu i tak nie w porę, że przerywał mowę, a Martę uwalniał od strachu. Świat przestawał falować.

Marta łaskotała nieobecne dziecko w nosek i nie zwracając już uwagi na brata, przechodziła koło niego, aby znowu w spokoju patrzeć na pola. Brat postarzały o tysiąc lat, ciężko szurając kapciami, wracał do łóżka. Kilka pigułek i zasypiał. Ciche nucenie Marty łagodnie wsączało się w jego zmęczoną głowę, która roiła kolejne prawdy. Marta siedząca przy oknie właśnie stała pośrodku pola, skąd widziała cały świat i jeszcze trochę dalej.

## MUCHY I NIE TYLKO

Tutaj much więcej niż w miastach. Rosną też większe. Być może ta obfitość nie wynika z ich rzeczywistej ilości ani wielkości, ale z tego, że tutaj są bardziej widoczne.

Rozbijają się o szyby, które muszą być niemiłym zaskoczeniem dla ich elastycznych głów. Nieco nerwowy lot pozwala na swobodny flirt z przestrzenią, która zawsze tak uległa, w pewnym momencie i miejscu zastyga jednak w przezroczystą skałę. Ogłupiałe ślizgają się po gładkiej skamielinie, jakby w przeczuciu, że przecież na tym się nie kończy, że dalej musi coś być, jakiś ciąg dalszy, który można by przebyć, radośnie bzykając w powietrzu.

Zdarza się, że wpadają do herbaty. To jeszcze pół biedy. Herbaty nie szkoda wylać. Gorzej, gdy wpadną do szklanki z piwem albo do kieliszka. Wtedy zazwyczaj próbuje się je wyłowić. Najczęściej palcem. Chaotycznie przebierają odnóżami, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Szans już nie ma, ale walka trwa o to, by być o te kilka chwil dłużej. Skrzydła są już do niczego. Odnóża nieruchomieją. Na palcu taki muszy topielec wygląda jak mokry kłębek kurzu. Wyrzucić to o spodnie albo w papier toaletowy i zapomnieć.



Kiedyś jedna mucha wleciała Marii prosto w ucho. Bolesnie drażniła skrzydłami bębenek. W czaszce wybuchały ogniste krzyki. Marii robiło się słabo. Myślała, że oszaleje. Świat rozpadał się pod wpływem owadziego bzyczenia, które było tak spotęgowane, że niszczyło całe poczucie bezpieczeństwa, zbyt już kruchego, by Maria mogła wiedzieć, gdzie jest i kim jest. Była przerażona. Jedyne myślenie – pozbyć się tego, pozbyć! Nawet nie czuła obrzydzenia. Wizja kosmatych odnóży, które szarpały się we wnętrzu ucha, przyszła dopiero później, gdy było już po wszystkim. Dobrze, że Maria miała pod ręką butelkę wody. Zalewała wodą ucho, aż utopiła ścierwo. Nawet nie zauważyła, kiedy trup wypłynął.

Pewnego dnia Józef kupił Marii odkurzacz na wodę. To znaczy, że cały syf wpadał do pojemnika z wodą i zamieniał się w kleistą breję. Łatwo później taki pojemnik wypłukać. Nie kurzy się przy tym i nie ma kichania. Właśnie przy odkurzaniu najlepiej widać, ile owadzych trupów wala się po podłodze i na parapetach. Są wszędzie. Wyschnięte, puste skorupy zaśmiecają kąty. Powyginane odnóża sztywno sterczą do góry. Przy najlżejszym dotknięciu łamią się i rozpadają na części, których już nigdy nie uda się poskładać w całość.

Gdzieniegdzie drgnie jakiś odwłok. Jakby miał zamiar popробować ruchu, o którym nie może już pamiętać.

Odkurzacz pochłania wszystko. Martwe kawałki ożywają na chwilę. Zgodną kupą przesuwają się po podłodze, szybko, szybko, coraz szybciej i znikają w ssawce, rozpląszczonej jak pysk rekina-młota. Stąd rurą w piekło. Silny prąd powietrza włącza owady w otchłań.

Wyobrażenie takiego piekła jakoś nie budziło w Marii współczucia. Daleko jej było do wiary, że ten czy inny robak może być jej kuzynem albo siostrą. Niszczyła je, bo niektóre gryzą, a nie posiadała zdolności odróżniania, które to robią, a które nie. Zresztą nie miała siły ciągle biegać za małym Krzysiem, któremu muchy wyraźnie smakowały.

A przecież pełno ich tutaj. Jedne bardzo małe. Właściwie pył. Wieczorami unoszą się nad spoconymi głowami i tną do krwi. Pełno też pospolitych. Mieniają się najróżniejszymi kolorami, ale nie dodaje im to uroku. Są też olbrzymy. Spasione korpusy. Żerują przede wszystkim na końskich tyłkach. Twarde, gdy się je zgniata. Wychodzi z nich wtedy kremowe nadzienie. Głośno pękają pod stopami, bo często są zbyt leniwe, by ruszyć się z miejsca i odlecieć kawałek dalej.

Poza muchami pełno tutaj latających mrówek, ciężkich trzmieli, dzikich pszczoł, os, ważek szcepionych ze sobą w powietrzu, jakichś niezidentyfikowanych potworów, stukających o żarówki ciem, komarów... Jeśli lato jest mokre i ciepłe, walka z komarami jest straszna. Jeśli jest sucho, a w dodatku chłodno – larwy rozpadają się w pył, nie przeczuwając nawet, że miały szansę stać się czymś więcej. Dzięki temu powietrze nie jest tak zagęszczone owadami. Można wtedy swobodniej oddychać. Bez strachu, że coś wpadnie w usta.

## SKÓRA I NIE TYLKO

– Michał, wydziargasz mi smoka?

Chudy blondyn, koło trzydziestki, pstryknął niedopałkiem i odruchowo spojrzął na biceps Alka.

– Smoka najłatwiej.

Alek chrząknął.

– Ile stoi?

– Zależy jaki.

– No taki, odtąd dotąd – Alek niedomkniętą dłonią zademonstrował, jakiej wielkości ma być smok. Od ramienia po łokieć, z ogonem owiniętym wokół gadziego tułowia. Michał zanim chwycił igłę do tatuowania, już wiedział, o jakiego smoka chodzi.

– Taki kosztuje dwie flaszki.

– Dwie?

– Albo gotówka.

– No, już dobrze, niech będzie – Alek sięgnął do kieszeni. – Papierosa?

– Yhy... Kiedy chcesz smoka?

– Choćby teraz.

– Dobra, tylko odkażę igły – Michał odpalił papierosa.

– Jak idzie interes? – spytał po chwili Alek. Stali przed klatką schodową jednego z tych pegeerowskich bloków i niewiele tu było do oglądania. Chyba że ktoś lubił patrzeć na baby, skupione pośrodku betonowego boiska, które coś tam krzyczały między sobą.

– Który? – splunął Michał.

– No, przecież nie tatuaże – i Alek wskazał brodą na biały podkoszulek Michała. Widniał na nim duży, pięciopalczasty liść konopi indyjskich.

– A, o ten ci chodzi? Widać, że trochę cię nie było. Nie ma już żadnego interesu. Teraz w modzie twarde, a nie jakieś tam skuny czy hasze. Ograniczyłem się do chałupnictwa. W mieście rządzą łysi i tylko oni mają zbyt. Są zorganizowani i dużo ich. Co mi do tego? Wolę tu spokojnie siedzieć i hodować dla siebie. Patrzyć na niebo i w ogóle. Na co mi kłopoty, no nie?

– No, ale jak będę miał ochotę, to znajdziesz coś, no nie?

– Dla znajomych zawsze, ale nic za darmo.

– To się rozumie.

Postali jeszcze trochę. Baby nie zamierzały rozchodzić się do mieszkań. Wypalili po drugim papierosie i Michał powiedział:

– No to co? Do roboty?

Alek skwapliwie przytaknął. Smok za trzy godziny będzie gotowy.

\*

Bo Alek już taki był, że lubił urozmaicenia. Niemożliwe, aby usiedział w jednym miejscu. Było to chyba trzy lata temu. Namówił kilku pegeerusów, aby zebrali się dla niego na bilet do Ameryki. Był przekonywujący. W Ameryce miał przyjaciela, który pracował na budowie i zaklepał dla niego miejsce. Alek obiecał ludziom, że odda pożyczkę z procentem. No i pojechał.

Nie było go i nie było. Nie pisał, bo niby po co. Ludzie zaczęli niepokoić się o swoje pieniądze. I gdy niepokój zaczął przeradzać się w nerwy, a nerwy w pewność, że zostali wykiwani i gdy ta pewność spróchniała w zniechęcenie i wstyd, że tak dali się nabrać, gdy już te wszystkie etapy przeszli, przegadali i przepili, a niechęć do Alka zaczęła słabnąć wraz z pamięcią o nim, wtedy Alek się pojawił. Zupełnie jak w amerykańskich westernach. Słońce miał za plecami, a kapelusz na głowie i wszyscy widzieli tylko jego ciemną sylwetkę, która majaczyła w oślepiającym świetle. Aż trzeba było mrużyć oczy i przykładac dłonie do czoła, by móc zobaczyć kto to. I mrużyli, bo ciekawi byli kto to. Dopiero, gdy był już blisko, wszyscy zobaczyli, że to Alek.

Ucieszyli się, bo bieda dawała się we znaki i każdy grosz był potrzebny. No i przede wszystkim opowieści ze świata, to ich szczególnie interesowało. Wynieśli na środek placu stoły, zrobili z nich duży kwadrat, wszyscy usiedli, a Alek, choć nie należał do rozmownych, zaczął opowiadać. Musiał. Jedli i pili za jego pieniądze, a on przez trzy dni opowiadał o tej Ameryce.

Na trzeci dzień zostali już sami mężczyźni i tylko wódka, bo nikomu nie chciało się donosić jedzenia, a kobiety miały swoje sprawy. Wtedy Alek zaczął opowiadać o tym, jak to podrzucali sobie z chłopakami cegły i było duszno, a koszula lepiała się od potu do skóry, aż któryś nie wytrzymał i krzychał do nieba: „Gorąco!”, a wtedy chłopaki zgodnie odpowiadali: „A jebać się chce!”.

Albo opowiadał o Szczerbatce, takiej polskiej kurewce, której brakowało połowy zębów. Ze Śląska była i szybko zapomniała, że kiedyś umiała mówić po polsku. W Ameryce sepleniała tylko w udawanym angielskim. Mało kto ją rozumiał, ale przecież nie była od rozmów, tylko od kutasów. I gdy już zrobiła im dobrze, a ustawiali się do niej w kolejce, to po jej wyjściu okazało się, że takiemu jednemu Franiowi brakuje dwustu dolarów. Mógł zgubić, bo przecież byli pijani.

Ale któregoś dnia patrzą ze szczytu muru, który budowali, a tam na dole stoi i uśmiecha się Szczербatka. Tylko że coś im w tym uśmiechu nie pasowało. Aż tak nie pasowało, że nie byli do końca pewni. Trochę się wahali. Niby ta sama Szczербatka, ale jakby nie ta sama Szczербatka! Nadal stała. I bezczelnie uśmiechała się do słońca, a słoneczne promienie odbijały się od jej pięknych, białych zębów, takich perłowych łopat, jakie mają tylko młode Murzynki... I dopiero wtedy, dopiero gdy wszystkich poraziła nienaturalna biel uśmiechu Szczербatki, dopiero wtedy wszyscy zrozumieli. Franiu zaczął krzyczeć, że on już wie, za czyje pieniądze ona ma te białe łopaty, i niech on tylko zejdzie, to jednym uderzeniem zrobi jej przeciąg w obciążarce... Jednak zanim zszedł z rusztowania, Szczербatka, która z racji nowego uzębienia przestała już być Szczербatką, gdzieś znikła i więcej jej nie zobaczyli...

Był też Kaziu. Kawał pięćdziesięcioletniego chłopca. Okazało się, że jego matka miała obywatelstwo amerykańskie i Kaziu dopiero w Ameryce się o tym dowiedział. Dowiedział się też, że i on automatycznie jest Amerykaninem. Niby szczęście, ale w Ameryce nikt nie chciał mu wierzyć. Każdy myślał, że Kaziu kombinuje i nie chcieli mu dać legalnej roboty. Mógł tylko, jak wszyscy, pracować na czarno. No i Kaziu, przecież poczciwy chłop, klął na tę Amerykę i pił przez nią.

Pił z nas najwięcej. Raz w środku nocy słyszymy, a tu ktoś otwiera drzwi od domku. Wiemy, kogo brakuje. To na pewno przyszedł Kaziu. Nikomu nie chciało się, nikt nie miał siły, by wstać i mu pomóc. Z łóżek nasłuchiwalismy, jak Kaziu zaraz w wejściu grzmotnął o podłogę i po chwili ciszy zaczął się czołgać. I czołga się, czołga i jeszcze raz czołga... Słychać było, że ciężko mu szło to czołganie... Nad ranem patrzemy, a Kaziu śpi z głową na dywanie, a nogami na zimnej podłodze. Tylko poczuł ciepło pod głową i od razu usnął. Dalej już nie musiał walczyć.

Kaziu tak sobie marzył, że jak tylko wróci z tej choleralnej Ameryki, to w Polsce ma domek, taki klocek, jakie budowało się za komuny, i w tym swoim klocek to on ma chłodną piwnicę, a w piwnicy łóżko sprężynowe z materacem. I jak Kaziu wróci z tej choleralnej Ameryki, a w Polsce będzie taki upał, że wróble zaczną spadać z drzew, to Kaziu weźmie butelkę mocno schłodzonej wódki i zejdzie z nią do tej swojej piwnicy, walnie się na łóżko, sprężyny pod nim jękną, a on będzie leżał i sączył z tej butelki, i nic więcej nie będzie robił, tylko leżał i sączył z butelki w tej swojej zimnej piwnicy, i nawet muchy nie odgoni, tylko będzie sączył i leżał.

Alek opowiadał też, jak to był raz na Manhattanie w Nowym Jorku. I zobaczył wycieczkę Ruskich. Tak samo jak on chodzili sobie po Manhattanie i patrzyli na wieżowce i na te wszystkie wystawy, i jeszcze raz na wieżowce, i na te wystawy, aż jeden z Ruskich nie wytrzymał i zapytał kumpli:

– A u nas co? – i szybko odpowiedział sam sobie. – A u nas gawno!

Tak to było. Takie to rzeczy opowiadał Alek. Trochę bez ładu i składu, ale starał się. A gdy już był mocno pijany i bardzo zmęczony, to zaczął mówić, że tęsknił za tutejszymi polami i że brakowało mu tutejszej wódki i ludzi, no i tego spokoju, bo w Nowym Jorku aż łeb mógł rozboleć od patrzenia w górę, na te wieżowce, no i ludzi za dużo, a każdy w gębie ma inny język, że nie można się dogadać.

Ale na koniec powiedział, że jednak nie ma co, za granicą najgorsi to Polacy. Niszczą swoich i okradają. Że właśnie Polak wyruchał go na pieniądze i Alek musiał temu Polakowi połamać ręce, ale nie wszystkie pieniądze odzyskał, bo gdzieś szczur jeden zniknął z tymi połamanymi rękami i pieniędzmi.

– Z Polaka w Ameryce wychodzi prawdziwy Polak. Żonę by sprzedał na kurwy, przyjaciela na narządy, siebie za zielone! – wzdychał Alek i gładko przełykał kolejną wódkę.

Opowiadał tak przez trzy dni. Deszcz nie padał, grzało słońce, a noce były ciepłe. No, a jak taka dobra pogoda, to musiał ciągle opowiadać i stawiać jedzenie i wódkę. A im dłużej opowiadał, tym więcej musiał stawiać. Przecież wrócił z Ameryki, no nie? Dopiero gdy język zaczął mu się płątać i po raz drugi zemdlał ze zmęczenia, dali mu spokój.

Alek w tej Ameryce trochę się narobił, ale i zarobił. Nie na tyle jednak, by się odkuć. Pieniądze, owszem, oddał. Nakupował nawet dla dzieciaków prezentów i za to go wszyscy lubili, zresztą, zawsze go lubili. Poza tym stać go było jedynie na kupienie i odnowienie tej rudery koło kapliczki z Błękitną Madonną. Uszczelnił dach, wymalował pokoje, wstawił nowe okna i na tym koniec. Musiał szukać roboty, żeby jeść.

Najbliżej i najłatwiej było do szwagra. Choć Alek nie lubił Józefa Myśliwskiego, spytał go o robotę. Myśliwski przyjął go, choć też nie lubił Alka. Dlaczego ten przyszedł, a ten dał robotę? Chyba jeden drugiego podziwiał. Alek Józefa za majątek, a Józef Alka za wolność. To ich właściwie łączyło. No i jeszcze jedno. Maria. Ale na nią nie zwracali uwagi. Tak jakby jej nie było. Może kiedyś, ale od jakiegoś czasu żadnemu z nich nie była potrzebna.

\*

Skóra Marii, szczególnie na twarzy, była tak cienka, że prawie wszystkie żyłki było widać. Józefa drażnił ten błękitny haft. Zdarzało się, że doprowadzał go do furii. Najczęściej wtedy, gdy nie miał już siły patrzeć na świat. I swoją bezsilność pragnął przezwyciężyć słabością Marii.



Po pierwszym uderzeniu pochłaniała go wściekłość. Obraz rozmywał się przed oczami. Całość pulsowała jak krew w skroniach, i to tak szybko, że Józef nie nadązał za światem. Gubił siebie i nie wiedział już, czy wciąż jest, czy już go zabrakło. Czasami przez szum w uszach słyszał swój głos, chyba swój głos, który rzeźił, jakby brakowało mu tchu: „Dlaczego tak udajesz, do kurwy nędzy! nie udawaj, że to boli! nie udawaj, że to bolało! bo wcale tak mocno nie biję! i ciesz się, bo zasłużyłaś na więcej, za to, że tak wyglądasz... za to, że muszę o wszystko dbać i beze mnie nie byłoby i tego, i tego, i tamtego... i spójrz tylko na siebie!”. Rozpędział się i nie pamiętał początku. Jeśli uderzył Krzysia, to przez tę szmatę. Żle osłoniła dziecko!

A gdy było po wszystkim i Maria leżała, cicho szlochając, z dzieckiem w rękach, żałował boleśnie i jej, i dziecka, i siebie. Wstydził się tego i jeśli zaraz nie wyszedł, to wstyd rozpędział go na nowo i zdarzało się, że Józef zaczynał kopać. Nawet wtedy Maria nie krzyczała, tylko ten dzieciak...

Twarz Marii kurczyła się z bólu jak dłoń, tak szczelnie, że później ciężko ją było rozewrzeć. Rzadko się uśmiechała, a jeśli już, to do syna, który boleśnie gryzł jej sutki, gdy przystawiała go do piersi. Nie należała do kobiet, które zdobywają pierwsze strony kolorowych czasopism. Nawet jeśli brała takie czasopismo do ręki, to nie rozumiała bizneswoman, ubranej w sztywny żakiet i mówiącej tak mądrze, że właściwie o niczym. Taka kobieta zyskiwała w oczach Marii dopiero, gdy w wywiadzie powiedziała coś o swoim dziecku albo mężu. Właściwie nie za bardzo wierzyła w świat takich kobiet – był zbyt kolorowy, uśmiechnięty i czysty. Może dlatego najczęściej czytała strony z przepisami na obiad czy ciasto.

Była całkowicie oddana sytuacji, w której przyszło jej żyć. To oddanie drażniło Józefa, ale zdarzało się, że wzruszało. Wtedy, żeby nie bić żony, musiał się przespać z jakąś kobietą albo dwiema, trzema... Nie spodziewał się po nich zbyt wiele i brał wszystko, co podeszło mu pod krocze. Skóra jego rąk stwardniała od pracy i nie wyczuwała subtelności kobiecych ciał. Była jak drewno i dłoń Józefa w dotyku była jak drewno.

Z innymi kobietami nie szukał miłości. Szukał ulgi. Czasami ją znajdował, ale po ciężkich zapasach, jakby siłował się z wrogiem. Z Marią już nie sypiał. Czasami tylko w pijanym widzie przychodził do niej i bez słowa wbijał się w nią boleśnie, a wtedy ona patrzyła w sufit i tylko mówiła sobie, że zaraz będzie po wszystkim, że on zaraz uśnie, przestanie stękać i będzie po wszystkim...

A jednak bała się życia bez Józefa. Wiedziała, że musiałyby być całkiem inne i tej inności bała się jeszcze bardziej niż takiego męża.

\*

Jak wiadomo, był czas, gdy Józef Myśliwski hodował lisy. Późną jesienią, kiedy miały najdłuższą sierść, Józef zbliżał się do wybranych sztuk i zabijał je prądem. Wkładał takiemu lisowi jedną elektrodę w tyłek, a drugą z tych nerwów zwierzak sam chwycił w pysk. Ciałem lisa wstrząsało napięcie dwustu dwudziestu woltów i zwierzęcy mózg skraplał się w gęsty płyn.

W tamtym czasie jedynym pomocnikiem Józefa był Tosiek. Pewnie chwycił lisa za kark, a drugą rękę zaciskał na ogonie. Gdy zaczynał pracę na farmie Myśliwskiego, to używał specjalnych szczypiec na lisy, ale szybko doszedł do takiej wprawy, że wystarczały mu ręce. Silnym szarpnięciem wyciągał ofiarę z klatki, a lis rozpaczliwie próbował się wyrwać. Naprężał się w rękach Tośka jak struna. Wkładał w to całą swoją siłę. Aż sierść strzelała iskrami, jeśli ktoś wierzy w ogień. A jeśli ktoś wierzy w wodę, to z takiego walczącego lisa wszystkimi porami parowało życie i skraplało się na końcówkach sierści, ożywiając ją tak skutecznie, że falowała jak zboże na wietrze, co zrywa się tuż przed burzą, i wtedy taki lis, szarpiący się lis, wyglądał jakby otrząsał się z kąpieli.

A wewnątrz lisa każda żyłka, co rozbudzała mięśnie, i każda drobina krwi w tych żyłkach spieszyły się tak bardzo, że potykały się o siebie i popychały wzajemnie, ale pomimo tego nie traciły równowagi, tylko dokładnie, a nawet jeszcze dokładniej niż zazwyczaj, wiedziały, gdzie mają wpaść, skąd wypaść, w czym się roztopić i przez co przepłynąć. I nieskończona ilość nitkowatych nerwów i kości, a nawet pazury, które rwały się do szybszego wzrostu, wszystko, wszystko żyło tak mocno jak nigdy wcześniej! Spieszyły się z tym życiem. Bardzo! Jakby chciały całkowicie wypełnić sobą ten krótki czas, który jeszcze był. Prąd cały ten ruch i pośpiech, całe to ożywienie, ścinał jednym pstryknięciem palców.

Zabitego lisa Józef wieszał na haku, pyskiem w dół. Najpierw nacinał odbyt, górne łapki i dolne, a na końcu pysk, z którego czasami skapnęła kropla krwi. Dużym, rzeźnickim nożem powoli oddzielał skórę z puszystą sierścią od stężałych mięśni. Jakie drobne i chude było ciało takiego rozebranego lisa!

Nagie ciało wyrzucał na stos innych ciał i podpalał. Czarny dym śmierdział pieczonym mięsem i łączył się z chmurami. Z tych chmur spadała później woda, którą można było pić. To nie miało jednak żadnego znaczenia. Liczyła się skóra, a właściwie futro.

I to futro Józef zanurzał w beczce z grubą solą. Trzymał je w tej beczce, aż sól wyżarła strzępy włókien, pozostałych z mięśni. Następnie naciągał skórę na prawidła i kropił ją roztworem kwasu mrówkowego. Skóra miękła i po wyschnięciu nadawała się na sprzedaż. Jeszcze tylko trochę wyczesać włosie i gotowe. Aż miło wtulić się w takie miękkie futro. Można było przyszyć sztuczny nos, a w puste otwory wszyć oczy z plastikową źrenicą i wtedy takie futro wyglądało prawie jak żywy lis, tylko bez bebeczków i bez ruchu.

## KNAJPA I NIE TYLKO

Tu to dopiero było życie! Aż wypełniało bebechy! Pani Mariola zawsze jak ta lala. Pod ręką kufel piwa, no i piękny biust. „Zagroda” dla wszystkich niedaleko, bo cel uświęca środki i czy na piechotę, czy rowerem albo traktorem, kto chciał, ten był.

Najdłużej otwarta w sobotę i niedzielę. Od dziesiątej, zaraz po porannej mszy, do dwudziestej drugiej! Ludzie, toż „Zagroda” to raj, a nie jakieś tam marne życie!

Alek właśnie tutaj czuł się najlepiej:

– Pani Mariolu, tyle kobiet widziały moje oczy, nie to, co oni tu, tylko mordy swoje widzą. Ja widziałem i czarne, i żółte, no i pani buźka taka rumiana, że tylko schrupać!

Pani Mariola wybuchała szerokim śmiechem i robiła się trochę bardziej czerwona na twarzy, tak że wyglądała jak dojrzałe jabłuszko.

– A pani pupcia, pani Mariolu, to ech!

– Tylko bez takich – obruszała się pani Mariola, choć nie za mocno.  
– Ja jestem szanująca się kobieta – kłamała z wdziękiem.

A wszystkim bez wyjątku podobały się te jej zaokrąglenia, bo każdy lubił, gdy mu się tak wzrok ślizgał po tych gładkościach.

– Ludzie, luuudzie! Jak dobrze w tej budzie! – krzyczał taki jeden. – Obudziłem się dzisiaj rano i od razu wiem, co robić! Do „Zagrody”, sobie myślę i jak myślę, tak robię! Ech, co za życie! Raj nie życie!

Michał też czuł się tutaj dobrze. Właśnie mówił do małego człowieczka, któremu czoło przykleiło się do stołu.

– Wie pan co, panie Zygmunt? Pan to mi przypomina takiego jednego amerykańskiego aktora. Jak jemu było? Na Ha...

– Hackman? – wtrącił się jakiś mądrzejszy.

– Nie... Nie... O, już wiem! Hakelbery!

Piwo mocz pędziło.

– Ludzie, luuudzie! Jakiego mądrego mam syna! – wrzeszczał śpiewnie taki jeden. – Już w przedszkolu był mądry! Uczył się angielskiego. No to raz do niego mówię: Synu, zaśpiewaj mi coś po tym angielsku. I ludzie, jak on mi pięknie zaśpiewał. Szło jakoś tak: „But wsjegda budjet soonce! But wsjegda budjet zieeemia!”.

– Jezus Maria, ile ja się w życiu narobiłem – stękał następny i przyglądał się swoim dłoniom. – Tymi rękami robiłem raz watą szklaną. Bez rękawic. A ta wata akurat taka była, że kawałkami wchodziła w skórę. A później przez dwa tygodnie wychodziły te kawałki z ropą. Ale po tych dwóch tygodniach skóra stała się jak skała, taka twarda, że o! – i zaczął kruszyć szklankę w dłoniach, a potem miażdżył ją na skrzące się drobinki i zdmuchiwał ze stołu jak plażowy piasek.

– Pani Mariolu, kobiety jak pani to chyba się lepi z takiego ciasta, że tylko palce lizać.

– Tylko bez takich – pani Mariola zmywała z ławy rozlane piwo. – Mnie niełatwo wziąć na takie plewy.

Spod ściany dochodził poważny, męski głos:

– Bo niektóre skarpetki są lepsze, a niektóre gorsze. Niektóre można nosić trzy dni i nic, a niektóre ledwo założysz, a już śmierdzą.

– Ludzie, luuudzie! Jakiego mądrego mam syna! Już kilka lat jest w jednej klasie! A ja nie wiedziałem, dlaczego on w tej jednej klasie tyle lat, ale on mi wytłumaczył: „Ojciec, jak ktoś sobie powtórzy kilka razy jedną rzecz, to dopiero ją do końca zrozumie”. I ludzie, ten mój syn do końca wszystko chce zrozumieć, taki jest cięty na nauuuukę!

Ktoś narzekał:

– Nie ma co robić! No nie ma co robić! Nic, tylko chujem gruchy obijać.

– Zawsze mówiłem, że jak pies nie ma co robić, to se jajca liże.

– Jezus Maria, a ja się narobiłem, że już zawsze mam co robić. Bo jak tylko sobie przypomnę, co ja się w życiu narobiłem, to od razu jestem zmęczony. Tymi rękami wybierałem szmatą ropę naftową ze zbiorników na tankowcach i te zbiorniki były wysokie na trzy piętra, i brakowało powietrza, a nafta kapiała na świecąca żarówkę i mieliśmy złe rękawice, takie, że ropa wsiąkała w materiał na nadgarstkach i poparzyło mi te nadgarstki tak, że gdy zdejmowałem rękawice, to pęcherze strzelały jak bąble gotującej się wody... A kilka dni później mówili w telewizji, że właśnie taki zbiornik jak nasz wybuchł i zginęło siedmiu chłopaków, co też czyścili...

Marian Zygmunt siedział ze wzrokiem utkwionym przed siebie i był wyraźnie spięty. Ale po chwili wyostrome rysy jego twarzy wyraźnie złagodniały.

– Panie Marianie, znowuż się pan zeszczął! – załamała ręce pani Mariola. – Ileż to razy! No, ileż razy!

– A, bo... A, bo... – bełkotał Marian Zygmunt.

Alek jak baletnica doskoczył do niego i wypchnął za drzwi. Michał spojrział na smoka, który ożył na bicepsie Alka. Ogon gada mienił się i wił, a Michał mruzczał pod nosem:

– Boże, jakie to piękne. Aż muszę sobie cały czas przypominać, że to moja robota. Takie to piękne, że zaraz mnie zjee...

Marian Zygmunt wypadł przez drzwi, ale miał taką dziwną przypadłość, że nigdy nie upadał. Nawet jeśli był tak pijany, że nie pamiętał, czy pił, czy tylko mu się to przyśniło. Zresztą rzadko dostrzegał różnicę. Gdy Alek wyrzucił go z „Zagrody”, Marian Zygmunt dość sztywno zszedł po schodkach, bezwiednie podnosząc przy tym nogi, jakby go coś parzyło w podeszwy. Przetoczył się pomiędzy plastikowymi stolikami, wystawionymi na powietrze, chwycił się plastikowego krzesła, a że było zbyt lekkie, porwał je ze sobą i zręcznie balansując pomiędzy upadkiem a swobodnym lotem, rozpląszczył się na murku, który akurat stał na jego drodze.

Alek dziarskim krokiem wrócił do pani Marioli, która wstydliwie zatrzepała rękami.

– Widzi pani tego smoka? – naprężył biceps. – On gryzie, wrrr... – i kłapnął zębami, a pani Mariola ze śmiechem pisnęła.

Jej pisk zagłuszył męski bas, który jak smród ciężko snuł się po podłodze:

– No, to już muszę iść. Nie ma co robić, to muszę iść.

– Ja nigdzie nie idę. Nie ma co robić, to nigdzie nie idę.

– A ja zawsze miałem co robić. Bo, Jezus Maria, jak sobie pomyślę, że jak ten gad Myśliwski i ja tymi rękami zdzieraliśmy skórę z lisów i codziennie o świcie trzeba było wstawać, zapierdalać rowerem i dawać im żarło, wracać rowerem do roboty, a po robocie z powrotem rowerem, by znowu dać tym ścierwom zmieloną rybę i tak przez dziesięć lat, czy piątek, czy świątek, że czasami rzygałem i krew z nosa leciała i teraz nic z tego nie mam, bo robiłem dla takich jak Myśliwski, a nie dla siebie...

Ktoś wyraźnie rozochocony krzyknął:

– Bo mówię wam, są tacy ludzie, że pluj kurwie w gębę, a powie, że deszcz pada!

Z drugiego kąta poszła odpowiedź:

– A ja za siebie nie odpowiadam, czy kurwa, czy deszcz, lepszy zimny browar!



– Oj, nie browar. Nie browar. Browar rozwalił mi żołądek. Wolę gorzałkę, ta przynajmniej zdrowotna!

Obcy też mogli przyjść i napić się. Zapędzali się tu znad jeziora, albo zjeżdżali z szosy, tylko że tacy zdarzali się rzadziej, bo knajpa nie wyglądała pięknie. Jak już taki wstąpił, to szybko był klasyfikowany, czy do bicia, czy do picia. Jeśli przyszedł rano i ze swoją kobietą, a jeszcze jak postawił temu i drugiemu, to raczej do picia, ale jeśli przyszedł sam i pod wieczór, a nie daj Boże podchmielony i trochę upierdliwy w stosunku do tutejszych kobiet to, no cóż...

– Pani Mariolu – uderzał już porządnie wcięty Alek. – Dla mnie cyc nie może zmieścić się w dłoni, bo jak się mieści, to posucha, a jak... Nooo, ale pani to i w dwie dłonie nie wejdą... A bym tak chciał... – i choć pamiętał, co by chciał, to tym razem jednak trochę jakby zapomniał, i w końcu obudził się gdzieś poza „Zagrodą” i panią Mariolą.

\*

Pani Mariola zamykała zawsze po czasie. Wzdychała w czarne niebo i marzyła. A potem szła taka rozmarzona skrajem szosy do przynębiającego skupiska pegeerowskich bloków, z których każdy wynosił się na dwa piętra w górę i rozpychał na dwie klatki schodowe.

Czasami pukał do niej Józef Myśliwski. Starał się przychodzić jak najrzadziej, by nie było plotek, ale i tak wszyscy mówili. No bo jak nie mieli mówić, skoro przychodził do pegeerów nie tylko dla niej. Nikt go za rękę nie złapał, czy za coś tam, ale po podwórkach biegało kilka bachorów tak podobnych do niego, że jakby skórę z niego zdarto. To mogło budzić pewne podejrzenia, no nie?

Pani Mariola wpuszczała go zawsze. Bardzo go lubiła, choć nie chciał o tym słyszeć. Zresztą miał gdzieś, co ona myśli. Tylko że gdy zanurzał się w niej, zapominał o wszystkim. I był to dla niego wielki dar. Nawet w burdelu cztery nastolatki naraz nie potrafiły tego, co pani Mariola. Nie potrafiły go uspokoić. A ona miała w sobie coś, czego sama nie rozumiała. Coś, co uspokajało go na tyle, że potrafił przy niej usnąć. Dlatego przychodził do niej, a ona nic za to nie chciała.

Mówił jej o willach i naszyjnikach, wakacjach na ciepłych wyspach i samochodach, a ona myślała: „Niech sobie mówi”. Wiedziała, że przychodzi do niej dlatego, bo jest taka, jaka jest. Ale raz chciał dać jej pieniądze. Obraziła się, bo przecież ona nie była z tych. Wrzasnął, że co ona sobie myśli! Że nie przyjdzie już nigdy do niej! Ale przyszedł. I już nic jej nie proponował, tylko rzucał się na nią. I zawsze był bardzo ciężki, choć dla niej wszyscy byli lekcy jak piórko. Trochę się tego bała, ale właśnie to trochę było tym, co sprawiało jej przyjemność. Tylko on tak potrafił.

Zdarzało się, że gdy skończyli i już niczego nie pragnęli prócz odpoczynku, zaczynał wspominać ojca. Ostatnio dużo myślał o swoim ojcu i jeżeli już o kimś mówił, to właśnie o nim.

Mówił, jak to ojciec wracał z pracy i przynosił kanapkę, która zostawała mu z prowiantu. W wejściu krzyczał, że ma chleb od zająca dla Józia i wtedy on biegł do ojca ile sił w nogach, żeby zjeść tę kanapkę, która była najsmaczniejsza, właśnie dlatego że od zająca. Ojciec głośno się śmiał, gdy mały Józio z takim smakiem pałaszował chleb.

Później to już tylko przypominał sobie kłótnie z ojcem. Coraz ostrzejsze, w miarę jak dorastał. Kłótnie o duperele. Jedna była przez mecz piłkarski. Nasi przegrali, ale był to rewanż i dzięki wysokiej wygranej w pierwszym meczu awansowali do kolejnej rundy. Józek cieszył się z kuzynem, gdy wtrącił się ojciec.

– No to jak to jest? Nasi wygrali czy przegrali?

– Teraz przegrali, ale tak w ogóle to wygrali.  
– Zaraz, zaraz. Jak mogli wygrać, skoro przegrali?  
– Bo, tato... Taka przegrana akurat daje im wygraną.  
– Nie rozumiem. Przegrana to przegrana. I nie powiesz mi, że ten, co przegrał, to wygrał.

– Ale... Oni tak naprawdę to wygrali...  
– No przecież widzę wyraźnie. Jeden zero dla tamtych... Tamci wygrali.

Nie było rady. Józef przyznał ojcu rację. Dla ojca wszystko musiało być jasne. Istnieli tylko czarni, biali i żółci. Żadni Metysi, Mulatki i takie tam...

Raz ojciec oglądał w telewizji koncert Karela Gotta – czeskiego piosenkarza, o którym pamiętają co najwyżej podstarzałe ciotki. Ojciec lubił Karela Gotta. Ładnie uczesany, zawsze uśmiechnięty mężczyzna w eleganckim garniturze ścisnął dwoma palcami prawej ręki cienki mikrofon, w zachwycie odchylając najmniejszy palec – dokładnie tak samo jak ojciec, gdy wychylał ostatni kieliszek wódki, po którym zasypiał na krześle.

W pewnym momencie na ekranie z postaci Karela Gotta wyłoniło się jego bliźniacze odbicie.

– No popatrz, Józiu, jaki podobny do niego – wskazał ojciec.  
– Nie, tato, to tylko odbicie, taki bajer telewizyjny – próbował wyjaśnić Józef.

– Co ty mi tu – obruszył się ojciec. – W telewizji mogą tyle, że nawet bliźniaka mu przywieźli, żeby z nim śpiewał.

– Tato, to nie tak... – i w tym momencie z odbicia Karela Gotta wyłonił się kontur następnego bliźniaka.

– No popatrz, Józiu, jeszcze jeden!  
– Ale tato, oni nie są prawdziwi, tylko Gott jest prawdziwy, a oni to taki bajer!

– Co ty mi tu gadasz, synu. W telewizji wszystko mogą. Gott ma dwóch bliźniaków i przyprowadzili ich do niego, żeby z nim śpiewali. Nie wiedziałem, że Gott ma braci.

I gdy tylko skończył, Karel Gott rozprzestrzenił się na ekranie dziesięciokrotnymi odbiciami, które zaczęły krążyć wokół siebie jak planety wokół krążących planet tak, że już naprawdę nie było wiadomo, który z nich jest prawdziwym Gottem, a który tylko odbiciem odbicia i jeszcze jednego odbicia.

– Cholera jaśnista! – zaklął ojciec i już nic nie mówił. Józefowi chciało się śmiać, ale spojrzął na ojca i zrobiło się mu nieswojo, bo widział, że ojciec poczuł się oszukany.

Właściwie to rzadko ze sobą rozmawiali. Syn nie był równorzędnym rozmówcą dla ojca. Nie zwierzali się sobie. Tylko raz jeden ojciec przyszedł jakiś zaniepokojony z pracy. Wyraźnie coś go trapiło i wahał się, czy ma to powiedzieć, czy nie.

I dopiero przy obiedzie nie wytrzymał i mruknął znad talerza niby do matki, ale raczej w stronę Józefa:

– Cholera jaśnista, mojego kolegę z pracy pobił syn – głośno siorbnął i dokończył: – Mój syn pobiłby mnie raz. A potem poczekałbym do nocy, wziął siekiere i odrąbał synowski łeb, zawiązałbym głowę w worek i poszedł na policję.

Po tych słowach jeszcze raz siorbnął, a Józef odtąd wiedział, że nigdy nie podniesie ręki na ojca.

Takie to były duperele. Nie warto nawet wspominać. Ale jakoś tak się złożyło, że Józef mówił o nich pani Marioli. Raczej nie należał do gadułów, a przy niej zawsze się rozgadywał. Wyrzucał z siebie i było mu lżej.

Kiedyś rozmawiał tak z Marią, ale to było dawno. Teraz wydawał jej tylko polecenia. Raz tylko, z głupia frant, spytał się jej, co myśli o Marcinie Panku. Po krótkim namyśle odpowiedziała mu, że nie ufa temu gogusiowi, że wygląda jakby udawał tylko, że pracuje, a tak naprawdę coś szykuje, tylko nie wiadomo co. Myśliwski na jej słowa tylko machnął ręką, co miało znaczyć: Nie znasz się, stara, na rzeczy. Goguś musi być, bo goguś najbardziej się dzisiaj podoba. Takie już czasy, że gogusie wzbudzają zaufanie, nie oglądasz telewizji? A coś szykuje? Pewno, że szykuje. Przecież musi sprzedawać, to i szykuje!

Opinia Marii o Panku tylko utwierdziła Myśliwskiego w przekonaniu, że nie ma sensu rozmawiać z nią o poważnych sprawach, a co dopiero o ojcu. No to z kim miał rozmawiać? Przecież nie z dupami z agencji! Zostawała mu pani Mariola. Jakoś tak. Jeszcze tylko ona.

Czasami byli tak zmęczeni sobą, że zasypiali od razu. Wtedy ich oddechy łagodniały i cichły. Jedno znikало dla drugiego. Sen zapewniał im ucieczkę. Oddzielnie nurkowali w przestrzeń, gdzie odbicie ust wśród fal dotykało ust, które się odbijały. We śnie każdy był tylko dla siebie i jakby zanurzony.

\*

Ostatnio przebudzenia stały się nieprzyjemne. Oboje czuli niesmak. Józef dlatego, że znowu poddał się urokowi pani Marioli, choć poza cyckami i tyłkiem nic w niej go nie interesowało. Pani Mariola dlatego, że znowu wydawało się jej, że tęskni za Józefem, a tak naprawdę oszukiwała sama siebie i teraz, gdy już było po wszystkim, wcale go nie pragnęła. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy czasem nie spotyka się z Józefem ze strachu przed nim. Może byłoby lepiej, gdyby już przestał do niej przychodzić. On za każdym razem obiecywał sobie, że już nie przyjdzie...

O nie, nie! Oni nie znudzili się sobą, oni zaczęli się wstydzić. Nie jak nastolatki, które za mało jeszcze widziały, ale właśnie dlatego, że przez te wszystkie lata obejrzelili siebie zbyt dokładnie. Zresztą nie tylko siebie. Poprzez siebie widzieli ślady pieszczot wszystkich tych, z którymi byli. Poczuli, że im to przeszkadza. Nie żeby byli o siebie zazdrośni. Stało się dla nich jasne, że są naznaczeni. Wystarczyło, że Józef zaczął się ubierać i przypadkowo na siebie spojrzeli. Wtedy ona pospiesznie okrywała się kołdrą, a on szybciej zapinał koszulę. Dopiero gdy był już ubrany, a ona przykryta, mogli na siebie spojrzeć. Pod warstwą ubrania nie widzieli swoich zmęczonych ciał, które teraz, gdy pożądanie minęło, nie znaczyły już nic.

Wiedzieli o sobie dużo. Za dużo. Mówiły im o tym ich ciała. Byli zbyt doświadczeni w rozkoszy, by nie dostrzec trwałych śladów, jakie na nich pozostawiła. Ich spotkania przestały być dla niego ukojeniem i okazją na dobry seks. Jej wydawało się, że cały ten czas przepała. Bez szansy na dziecko, na założenie rodziny, w dziwnej zależności od mężczyzny, do którego zaczynała czuć obrzydzenie.

Już nie tęskniła, gdy Józef długo się nie pokazywał. W końcu zawsze pozostawała knajpa. A w knajpie? Wiadomo. Chętni.

Nie gardziła chętnymi. Alek, Michał, ten czy tamten... czasem jakiś obcy... Zawsze z czystym sumieniem. Nigdy dla siebie. Zawsze siebie dla innych. Żadnego z nich nie potrafiła skrzywdzić. Żadnego nie potrafiła pokochać. Wiedziała, że się podoba, i miała coraz większą potrzebę sprawdzania, czy podoba się nadal. Im więcej ich było, tym bardziej ich pragnęła, jakby chciała zaprzeczyć coraz grubszej warstwie pudru, którą pokrywała twarz podczas porannej toalety.

Wreszcie zdarzył się obcy, o którym pani Mariola długo nie mogła zapomnieć. Młody chłopak z czarnymi jak węgiel brwiami. Prawie zrastały mu się na czole i to pani Marioli podobało się najbardziej. Pracował przy zakładaniu linii wysokiego napięcia. Co wieczór przychodził do knajpy i dziwne było to, że nikt go nie zaczepiał, choć wszyscy widzieli, że wzdycha do niego pani Mariola. Pewnego wieczoru chłopak upił się i zaczął płakać. W knajpie został tylko Marian Zygmunt – szybko znalazł się na zewnątrz.

Pani Mariola zaczęła pocieszać chłopaka, a on wtulił się w jej piersi jak dziecko i zaczął mówić o wstydzie, jaki ściągnął na swoją matkę, i że ona mu tego nigdy nie wybaczy. Wtedy pani Mariola zaczęła go przekonywać, że matka zawsze wybacza. Nawet najgorsza matka, jeśli nie uśmierciła swojego dziecka przy narodzinach, to już jest z nim związana na wieki wieków... No tak, ale on był bardzo wdzięczny swojej matce za to, że zawsze przy nim była, bo ojca to on nawet nie pamiętał... I teraz nie może sobie wybaczyć, że ją zdradził. Zawsze byli tylko dla siebie, a jemu to nie wystarczyło i teraz ma za swoje!

– O biedny, ty mój! O biedny, ty mój – pocieszała go pani Mariola, a on wtulał się coraz głębiej w jej biust, aż brakowało mu powietrza, a jej z rozkoszy poczerwieniały policzki i zaczęła coraz szybciej oddychać...

Usnął, a ona bała się ruszyć z miejsca. Trwało to chwilę, ale ona pragnęła, aby jego oddech ogrzewał ją zawsze. Chłopak ocknął się, a gdy ją zobaczył, zaczął przeproszać, i to, i tamto. Próbowwała go zatrzymać, ale niezdarnie odsunął się od niej i zatoczył w stronę drzwi. Została sama. I wtedy długo płakała.

A potem powstała plotka, którą powtarzało echo, i w tej plotce powiększonej echem Marta chwaliła się wszystkim, że jest w ciąży z chłopakiem od linii wysokiego napięcia. Pani Mariola dopiero teraz rozumiała, że zwierzenia chłopaka dotyczyły Marty. Nie chciała w to uwierzyć. Wszystko jednak wyszło na jaw, gdy zdarzył się ten wypadek i chłopaka spaliło na szerniałą zapałkę. Wtedy taka jedna z pegeerów nie wytrzymała i powiedziała telewizji, a telewizja powtórzyła i wydało się, nie tylko tutaj, ale i wszędzie, że on z Martą... Józefie Świąty, co za wstyd! – to pierwsze, co pomyślała pani Mariola, ale zaraz poprawiła się. – A nawet jakby i wstyd, to co z tego? Zmarły wstydu nie zna. Wstyd zmarłemu nie zaszkodzi.

Tylko że od śmierci chłopaka pani Marioli było bardzo smutno i samotnie. Jak nigdy wcześniej. Co z tego, że nadal się podobała i z wieloma spała? Spała z nimi, żeby zapomnieć o nim. Chyba rozumiała, że już dla niej nie ma szansy na tym świecie. Bo w jej sercu był on i tylko on. I minęli się ze sobą tak okrutnie.

Pani Mariola cały czas pamiętała tę chwilę, gdy chłopak tulił się do niej. Jednak ta chwila coraz bardziej kruszała, a jego postać powoli się rozsypywała. Aż pozostał z niego spopielający cień i gdy pani Marioli wydawało się, że już po wszystkim, bo jakoś przyszedł do niej Myśliwski i nawet było jej dobrze, to gdy nad ranem Myśliwski bez słowa wstał i wyszedł, zawiązała jej tym popiołem w oczy i wtedy znowu głęboko zapłakała za utraconym kochankiem, który nawet nie zdążył jej pokochać.

\*

- Widziałeś kiedyś B-boga? – bełkotał Michał do pijanego Alka.
- Co takiego?
- N-no Boga?



– A co to takiego?

– Ale powiedz tak na s-serio, nie interesuje cię?

Alek wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Kiedyś na obrazie, z siwą brodą, widziałem – zachichotał jakoś nie po swoimu.

– Ale ja mówię s-serio – ciągnął uparcie Michał. Czołem dotykał blatu stołu i właściwie nie było wiadomo, czy mówił do Alka, czy w ten stół. – Mnie raz, jak wziąłem kwasu, zainteresowało... B-bóg... Tutaj to było...

I zaczął mówić powoli i bardzo niewyraźnie, tak jak mówią pijani. Zaczął mówić o chwili, gdy LSD odmieniło mu świat. Zobaczył wtedy, że pola oddychały jak wielkie płuca. A pnie drzew ociekały piaskami, które barwiło zachodzące słońce i piasek czerwony jak krew strużkami podpływał do jego stóp i nasączał skórę... Michał łączył się krwiobiegiem z ziemią i poznał, że z ziemi powstał. Las szumiał jak w bajce, że to nie wszystko.

Bo to nie było wszystko. Michał zasłabł z wrażenia i uklęknął, a woda, która z niego wyciekała, wsiąkała w pola i jak cienkie długie wężyki wila się po pniach drzew, wnikał w bruzdy kory. I już po chwili Michał widział siebie w tych drzewach i przeistoczony w wodę przeciskał się pomiędzy sprężystymi włóknami i zostawało go coraz mniej dla siebie, a coraz więcej w tych włóknach, dla drzewa, i równocześnie jako woda rozpuszczał się w ziemi, która teraz upominała się o swoje...

Ale to nie było wszystko! Bo z osłabienia Michał położył się, a jasne niebo rozpadło się nad nim w rozgwieżdżoną czern i już nie wiedział kim jest, czy kobietą, czy facetem, czy w ogóle człowiekiem, czy zwierzęciem, a może kamieniem, bo nawet nie wiedział, czy oddycha, i nawet gwiazd już nie było, nic! I tkwił w tym nic nie wiadomo jak, nie wiadomo ile, czy głową do przodu, czy do tyłu, w górę, czy w dół, czy bez głowy, minuty, godziny, może lata... A gdy zaczął wyłaniać się z tego nic, to najpierw poczuł się jak mała, nikomu już niepotrzebna pestka, z której mogłoby rozwinąć się zarówno życie jak i śmierć, i wtedy zrozumiał, że jest tak samo martwy jak i żywy, i że, chociaż przecież się urodził, to równie dobrze mógłby się nie urodzić...

– T-to chyba był B-bóg, n-no nie?! N-no bo co? – zabełkotał na koniec Michał.

– Nie wiem, ale dużo tego było – wzruszył ramionami Alek i dokończył portera. Michał coś tam jeszcze próbował, ale już całkowicie niezrozumiałe. Alkowi oczy łzawiły od piwa:

– Mnie by wystarczyło dupsko, o, tej tam – beknął w miarę cicho. – Takie tyłki to mają chyba tylko anioły – ciężko westchnął, bo właśnie pani Mariola zaśmiała się pięknie z czyjś kawału. Ale zaraz ten śmiech skurczył się, zwiądnął i opadł, obnażając zmęczoną twarz, z której nie narodzi się owoc. Wyglądało na to, że pani Mariola nad czymś się zamyśliła. Nad czymś bardzo dla niej ważnym.

## MGŁA I NIE TYLKO

Tutaj jezioro dla wielu stanowi centrum. Od niego rozchodzi się życie. Im dalej od jeziora, tym dalej od domu. Tylko że teren po jednej stronie jeziora zasiedlili obcy. Przyjeżdżają z miasta i wydaje im się, że skoro Sękowiak pozwolił im wydzierżawić kawałek swojej ziemi, na której postawili pokraczne domki z dykty, to już ziemia jest ich. Obcych trzeba wytrzymywać przez całe lato. Niektórych jeszcze do późnej jesieni. Śmiecą i są głośni. Ale to akurat wspólne jest wszystkim.

\*

Dziad, choć żył nad jeziorem, to w takim miejscu, że obcy nigdy się na niego nie natknęli, a tylko niektórzy stąd wiedzieli, gdzie jego szałas. Mało kto miał z nim do czynienia, ale wszyscy się go bali. Nie chciał nikomu przeszkadzać, ale większości przeszkadzał. Ludzie raczej nie lubią się bać. No a dziad wywoływał jakiś niezrozumiały strach.

Był stary i brzydki. Starość rzadko jest piękna. W dodatku poza starością dziad miał jeszcze inne widoczne wady. Przed wszystkim oczy zasnuł bielmem. Mówiono, że jeśli ktoś spojrzał w te oczy, mógł zapaść na ciężką chorobę. Raz Krzysztof Myśliwski, który już dawno przestał być Krzysiem, siedł lekko wstawiony na dyskotekę w pegeerach i po drodze spotkał dziada. Szczeniak miał dobry humor. Zabawa zapowiadała się nieźle. Może dlatego zachciało mu się dziada nastraszyć. Tak tylko dla jajec.

– No co, dziadu? Chcesz w te swoje ślepie? – i pchnął dziada w stronę rowu.

Dziad ledwo utrzymał się na nogach, ale gdy Krzysztof znowu się do niego zbliżył, syknął na niego ostrzegawczo. Szczeniaka na chwilę wmurowało. To wystarczyło, by dziad spojrzał mu głęboko w oczy. Było ciemno i oczy dziada błysnęły tak niesamowicie, że Krzysztof Myśliwski pierwszy raz poczuł, co to strach. Wokół nich wszystko zastygło na kamień. Dźwięki ustały. Żadnego powiewu. Gdy Krzysztof Myśliwski się ocknął, dziada już nie było. Tylko pusta droga. Chłopak wzruszył ramionami, że niby nic się nie stało i dla kurażu charknął w bok. Ale właśnie wtedy chwyciła go sraczka. Nie zdążył zrobić nawet kroku, nie mówiąc już o ściągnięciu spodni. Posrał się w gacie, zanim charki łągodnym łukiem spadły na drogę. Krzysztof Myśliwski był pewien, że to przez dziada. Nigdy mu nie zapomniał tych chwil, gdy cały zapapwany i śmierdzący przemykał polami z powrotem do domu. Tego wieczora na zabawę nie dotarł. Spędził całą noc w sraczu i z grymasem na twarzy obmyślał zemstę.

Poza oczami zasnutymi mgłą dziad dźwigał pękaty garb. Skrzywiło go na starość i czołem prawie dotykał ziemi. Dlatego każde spojrzenie musiał kierować do góry i kto na niego patrzył, otrzymywał spojrzenie z dołu. To jeszcze bardziej pogłębiało dystans między nim a innymi. Jego pozorna słabość u wielu wywoływała chęć wypróbowania na nim własnej siły i dawno zostałyby skruszone za swoją ułomność, ale po pierwsze błyskał tymi ślepiami, a po drugie znał sposób na choroby.

Dziwnie to było z tym jego leczeniem. Niewielu wyleczył, a jednak szła plotka, że wyleczył wielu. Miał podobno magiczne przepisy, które unicestwiały każdą cholereę. Dokładnie spisywał je w zeszycie i odczytywał, dotykając nosem zapisanych stron. Były tam recepty, w skład których wchodziła łuska polnej żaby, sperma koguta strząśnięta przy pełni księżyca, wnętrzości robaka, co żyje tylko w odbycie dżdżownicy, a nawet pył ze skrzydeł pszczoły zmarłej po użądleniu w serce obłąkanego niemowlęcia. Dziad podobno wszystkie te składniki miał i stosował.

Nikt o tym nie wiedział, ale dziad pisał też swoje Pismo. Stało w nim, że na początku Człowiek stworzył Boga. I Bóg na wzór Człowieka był niedoskonały. A każda rzecz obudzona Jego tchnieniem nosiła w sobie ziarno końca. Bo Człowiek żył krócej, niż wieje wiatr. A wszystko z Niego się stało. Tak jak i On gniło zboże na deszczach, a chleb trawiły żołądki. Natomiast żołądki trawiła ziemia. Zaś robak obracał w pył ziemię. Każdy uśmiech krzywił usta zapowiedzią płaczu. Każdy płacz rodził smutek i zło, które kruszyła śmierć. I śmierć nie miała nic poza sobą. Tak obracała życie w pył. Co kwitło, pyłem się stawało. Co brzmiało, spadało w milczenie. I choć z kości pył usypie kopiec, to kres wszystkiego wyznaczy woda. Bo świat zaleje nadmiar łez.

Takie to Pismo pisał dziad. Trochę jak wiersz i trochę jak samotność. Dobrze się z tym czuł, bo pomimo wrodzonej zdolności wpływania na życie innych, mógł nim całkowicie rozporządzać tylko w samotności, zapisując je na kawałkach tektury. W swoim Piśmie uśmiercał i stwarzał. Przede wszystkim jednak uśmiercał. Z niemym okrucieństwem nachylał się nad światem, jaki udało mu się zapisać. I tu dopiero wszyscy drżeli przed swoim demiurgiem.

\*

Józef Myśliwski rządził w tartaku, Marcin Panek jeździł po kraju, ale całą gospodarkę trzymał w garści Tosiek. To jego bali się chłopci, pracujący dla Józefa. Może dlatego się bali, bo znali go nie od dziś i wiedzieli, że należy się go bać.

Lecz zanim w Tośku obudził się talent zarządcy, włóczył się po polach schlany w trupa. Pił dzyń w dzyń, jak gadali ludzie. Śmierdziało od niego rzygami i moczem. Miał kłopoty z rozpięciem rozporka na czas i często wsiąkało mu w nogawkę. Leżał ścięty przez tanioczę i bełkotał słowa, które oddestylowane z alkoholu być może zawierały ważną myśl. Problem w tym, że taką myśl mógł zrodzić tylko pijany umysł, a gdy już otrzeźwiał, to trzeźwy umysł nie rozumiał pijanego ni w ząb. Tak więc wielka myśl nie mogła być nigdy poznana.

Gdy bełkot zamierał w gardle i żadne słowo nie pobudzało krtani do drgania, Tośka ogarniała mgła. Ta mgła właściwie istniała tylko przez chwilę. Szybko rozplywała się, a z nią cały świat. Wtedy Tosiek nie czuł już nic.

Najpierw przepił żonę. Zostawiła go i poszła z dzieckiem tak daleko, że bardzo szybko o niej zapomniał. Szybko też zapomniał, czy spłodził syna, czy córkę. Może nawet nie zdążył sprawdzić. Następnie przepił pracę. Myśliwski ufał mu, bo przecież Tosiek pracował u niego od początku, ale wyrzucił go, gdy po raz kolejny po wypłacie przez tydzień nie pokazywał się w tartaku. W dodatku gdy się pojawił, był tak pijany, że zamiast przeciąć deskę, odciął sobie palec. Patrzył na ten palec i o niczym nie myślał. Rzadko się zdarza tak czysta bezmyślność. Krew pojawiła się dopiero po jakimś czasie. Nawet nie bolało. Tylko trochę kręciło się w głowie. I wróciła myśl, ale nie do zapamiętania.

Tosiek nie pamiętał, jak znalazł się w kuchni Myśliwskiego. Na szczęście nie było szefa. Za to była Maria. Trochę pobladła, gdy spojrzała na rękę. Szybko się jednak opanowała. A później, gdy Tosiek już siedział w swoim pokoju i patrzył na bandaż przesiąknięty krwią, choć niewiele z tego wszystkiego rozumiał, to wiedział na pewno, że stracił pracę w tartaku. Jak przez mgłę przypominał sobie, że próbował jeszcze ciąć z tym zabandażowanym palcem, ale przyłapał go na tym Myśliwski i zbluzgał, że kompletnie pijany. Wtedy Tosiek zrozumiał, że przepadł.

Skoro stracił pracę, miał powód do picia. Miał za co pić, bo prócz tego, co zarobił u szefa na czarno, przysługiwała mu zapomoga. Miał za co pić tym bardziej, że żona nie ściagała go o alimenty. W ciasnym pokoiku pegeerowskiego bloku gołe baby łapczywie patrzyły z plakatów, jak Tosiek wykańczał tanioczę za tanioczą. Pił, żeby zapomnieć, że mu smutno, a robiło mu się jeszcze smutniej, gdy był pijany. Dlatego pił, ile wlezie.

Któregoś dnia przetaczał się od skraju drogi do skraju drogi i coś zgmiotło mu serce. Jakaś dłoń zabawiła się jego sercem jak gąbką. Tym razem bolało. Krótko, ale wystarczyło, by się przestraszyć. Potem bardzo wyraźnie zobaczył siebie samego i poczuł, jak cuchnie. Widział, jak jego ciało błyskawicznie gnije, a z oczu zostają dziury. Robaki o dziwnych kształtach wyjadały mu twarz. I wtedy wszystko się odmieniło. Zobaczył światło, które uformowało się w twarz Błękitnej Madonny, co to stała od zawsze na zakręcie do pegeerów. I uwierzył, że znalazł się w niebie.

Gdy się ocknął, zamiast nieba zobaczył sufit. To był sufit miejskiego szpitala. Powiedziano mu, że miał zawał. Drugi zawał. Nie przyznał się, że nie pamięta pierwszego. Lekarz nakreślił sprawę jasno. Jeszcze jedna flaszka i pompka rozleci się w pizdu. Tosiek nie chciał w to wierzyć. Nigdy nie ufał medycynie. Innym razem zlekceważyłby wyrok lekarza, ale teraz trochę bał się tego, co zobaczył podczas ataku.

Poszedł do dziada. Jemu też nie ufał, ale chwycił się ostatniej deski ratunku. Dziad łypnął bielmem. Wyglądał jak wysłużona ropucha. Opukał Tośkowi pierś i plecy. Tosiek zastanawiał się, dlaczego dziad pukał mu akurat w plecy, skoro chodziło o serce. Pamiętał taki jeden obrazek, na którym Chrystusowi promieniało serce pośrodku piersi. Tosiek podejrzewał dziada o jakiś podstęp. Żał mu było paczki drogiego tytoniu, którą musiał ofiarować w zamian za poradę. A porada była krótka. Jeśli chce żyć, nie może pić.



Tosiek był już trochę rozdrażniony całą tą historią. Wyrok zagotował w nim krew, wciąż jeszcze naznaczoną piętnem alkoholu. Już wyciągał ręce, by chwycić dziada za gardło, ale powstrzymało go stężałe bielmo oczu. Tośkowi zakręciło się w głowie i poczuł, że słabnie. Miał wrażenie, że przysnęł, ale prawie natychmiast rozbudził się. Był cały spocony. Postanowił, że ukreści dziadowski łeb przy innej okazji. Na przykład wtedy, gdy staruch będzie patrzył w drugą stronę. Zostawił tytuń i wrócił do mieszkania. Po drodze spoił się jeszcze bardziej. Już dawno nie szedł do domu trzeźwy.

Tu ze ścian przywitały go litościwe spojrzenia gołych bab. Nie miał na picie, no i pamiętał swoją przygodę. Postanowił spróbować, czy wytrzyma. Po jakimś czasie obgryzł wszystkie paznokcie. Nawet te u stóp. Nie spodziewał się, że jest taki wysportowany. W dalszej gimnastyce przeszkodziły mu bóle, o których nie wiedział, że takie istnieją. Choć chciał ruszyć się z miejsca, już nie potrafił. Robił pod siebie, rzygał. Wychodził z niego cały smród, wszystkie nieprzytomne miesiące. To, co zawsze wydawało mu się snem, teraz groziło mu pięścią przed nosem. Wreszcie po dwóch tysiącach lat zjawy rozpląnęły się w mgłę i trochę w niej popływał. Kilka razy zachłysnął się, ale nie utonął.

Gdy stanął przed lustrem, spojrziała na niego morda. Ogoliłby się, ale za bardzo był rozdygotany. Nie potrafił nawet trafić palcem do dziurki od nosa. Poszukiwanie twarzy postanowił odłożyć na później. Grunt, że w końcu ją znalazł. Zdarł z niej cały syf, jaki dotąd narósł i zakrzepł. Myśliwski poznał się na nowej twarzy i dał jej ostatnią szansę.

Tosiek na widok żony szefa wyraźnie zbladł. Odkąd zapomniał, że miał kiedyś żonę, nie zastanawiał się nad żadną kobietą. Drobną postać Marii Myśliwskiej coś mu przypominała. Zaczęła nawiedzać go w snach. Wyłaniała się z błękitnej mgły. Naga i uśmiechnięta. Tosiek wierzył, że w jego głowie była szczęśliwa. On był. Często po takiej nocy wygrzebywał się spod koca zaplamionego nasieniem. Zdarł wszystkie baby ze ścian. Nie pasowały do wizji, w których pojawiała się Myśliwska.

Wpadł na pewien pomysł. Pojechał do miasta i kupił sobie aparat fotograficzny. Najpierw zrobił zdjęcie Błękitnej Madonnie i wpiął je pinezkami w świeżo wymalowaną ścianę. A potem, bardzo ostrożnie, tak żeby nikt go nie przyłapał, próbował sfotografować Myśliwską. Udało się. Portret Myśliwskiej powiesił obok podobizny Błękitnej Madonny.

Któregoś dnia odważył się i zaczął Myśliwską, gdy niosła wiadro ze zlewkami do obory. Chyba była lekko podchmielona. Miała podpuchnięte oczy. Lewe jakby bardziej:

– Pani Mario, pani jest taka podobna, taka podobna do tej Błękitnej Madonny, co w kapliczce stoi – wydukał Tosiek.

– Nie rozumiem – Maria Myśliwska nerwowo dotknęła opuchlizny pod lewym okiem.

– Bo to jest tak, że... – Tosiek zaciął się i już wiedział, że więcej nic nie powie. Dziwne, ale właśnie w tym momencie przypomniało mu się, jak jeden szczeniak kiedyś w autobusie gruchnął w ucho swojej dziewczynie: „Wiesz co? Zajebałem się w tobie, że chuj”. „Pierdolisz?” – odpowiedziała mu panienka z niedowierzaniem. Tosiek przeczuwał, że do Myśliwskiej tak nie można.

– No to ja muszę w tartak... – bąknęła i z opuszczoną głową ruszyła w stronę dżipa. Najpierw zrobi objazd majątku. Zobaczysz, czy wszystko gra.

Maria Myśliwska otarła czoło i znowu chwyciła za wiadro.

\*

W oborze załamane oczy bydła patrzyły na Marię. Wyglądała, jakby coś strzeliło jej w krzyżu. Bydła widziały co najwyżej zniekształconą plamę. Marię bolało. Kiedyś chyba podobnie ją bolało. Gdy rodziła Krzysztofa. W tym samym gównie, pod takimi samymi pyskami. Żadnych ludzi. Tylko bydło. Przed oczami rozpląwał się świat i zanim zniknął, zaczął wirować, jakby pragnął powtórzyć wszystko to, co było wcześniej i zamienić miejscami z tym, co miało dopiero nastąpić. Marii coś pocięło po nogach. Dotknęła ręką. Krew. Nie miała już siły się bronić. Już nie chciała. I świadomość, że nie musi podejmować wysiłku, bardzo ją uspokoiła. Odtąd już nic od niej nie zależało.

\*

– Nie jedziemy do żadnego szpitala. Jeszcze pobrudzi mi tapicerkę – powiedział Myśliwski do Tośka, gdy znaleźli Marię. – Od czego są telefony, do kurwy nędzy?

Zadzwoił po lekarza. Przyjechał po godzinie. Zbadał. Okazało się, że Maria była w trzecim miesiącu ciąży i poroniła. Józef zacisnął pięści. Jak ta kurwa mogła! Nawet nie wiedzieli, że była w ciąży! A mógł być drugi syn. Gdyby nienawiść była pięścią Józefa, Maria oberwałaby nią w twarz.

Tym razem nienawiść została jej oszczędzona. Ale tylko dlatego, że jej nie czuła. Bo Maria śniła. Bardzo długo i bardzo szybko postępujący po sobie jeden i ten sam sen. Ukazywał się i rozpląwał, i zaraz powracał znowu:

Patrzyła w taflę jeziora, znad której rozchodziła się mgła. W tej mgle Maria czuła się bezpiecznie. Pozwalało jej to skupić się na odbiciu twarzy, jakie oddawała woda. Widziała gładką skórę i rozdygotany falami uśmiech. Bardzo pragnęła całować własne usta. Przeszkadzał jej w tym jednak natrętny niepokój, który nakazywał odwrócić się i spojrzeć. Wtedy z mgły wyłaniała się ręka. Chwytała ją za szyję. Miażdżyła krtań. Teraz Maria bardzo się bała. Widziała, jak jej twarzy brakowało powietrza. Niszczyła ją gwałtowna starość, która wysuszała skórę i zasnuwała gałki oczne mętным bielmem. Strach powoli mijał. Rozrzedzał się jak mgła, przez którą prześwitywała gładka tafla jeziora. Maria widziała w niej odbicie swojej twarzy. Gładką skórę i rozdygotany falami uśmiech. Bardzo pragnęła całować własne usta. Przeszkadzał jej w tym natrętny niepokój, który nakazywał odwrócić się i spojrzeć...

\*

Zawsze znajdzie się ktoś, kto boi się bardziej niż inni. Tutaj tym kimś był Staszek. Bał się nie tego, co jest, ale tego, co widział. A widział więcej niż inni. Bo nawet martwe potrafił obudzić do życia.

Zdarzało się, że gdy służył do mszy, słowa księdza nagle tonęły w ciszy i w tej ciszy oniemiały Staszek patrzył na obraz kroczącego Chrystusa, który trzymał w swoich dłoniach okrągłe, czerwone serce i to serce rytmicznie pulsowało. Staszek słyszał uderzenia serca tak głośno, że nie mógł przełknąć śliny i czuł niemiłe łaskotanie w żołądku, aż w końcu już nie wiedział, czy to jego serce tak bije, czy Chrystusa...

Innym razem przechodził obok kapliczki z Błękitną Madonną. Musiał przystanąć. Coś zmusiło go, by spojrzeć w martwe oczy świętej figurki. I wtedy kamienne powieki zamrugały, a z głębi nieruchomych gałek jak ze snu zaczęły wyłaniać się krążki żywych źrenic. Błękitna Madonna spytała Staszka: „Kim jesteś?”. A on nie wiedział co odpowiedzieć, bo myśli zagłuszał mu chrzęst kamiennych ust. Kim jesteś? I gdy ocknął się z tym pytaniem w głowie, Błękitna Madonna znowu zastygła w zimny posąg. Jakby nic się nie stało, ale Staszek dobrze wiedział, że pytanie Madonny wrosło w jego umysł na zawsze.

Często podczas tych wizji tracił przytomność. Szczególnie wtedy, gdy to, co zobaczył, trwało zbyt długo i Staszek zaczynał się bać, że zastygnie w tym czymś na wieki, jak owad w tężejącej żywicy. Chwytały go dreszcze i ścinało go z nóg. Jego ciało padało jak kłoda tam, gdzie stał. Dlatego, gdy tylko zaczynały się dreszcze, próbował schować się, by później nie leżeć gdzieś pośrodku drogi. Raczej nie udawało się uciec. Strach był szybszy od ruchu. Wtłaczał go w ciemność bez słów i dotyku.

Budził się po kilku minutach. Brudny od tego, w co wpadł. Przebudzenie nie było przyjemne. Miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. W złym świecie, bo nieznanym. Jakby kanciastym, z nie pasującymi do siebie elementami. Trochę to trwało, zanim uświadamiał sobie swój upadek i swoją chwilową nieobecność. Pamiętał tylko strzępy z tego, co zobaczył, zanim zabierało go nic.

Raz wybrał się do miasta. Właściwie nie wiadomo po co, ale później żałował. Stało się to na jakiejś ulicy. Zobaczył za dużo samochodów i ludzi. I te samochody były żywe, a ludzie martwi. Jakby materia zamieniła się miejscami z duchem. Gdy się obudził, nie miał na sobie kurтки i ktoś ukradł mu buty. Portfel też gdzieś zniknął.

Dlatego starał się ograniczać emocje. Nie chciał zapadać w odrętwienie. Bał się i dlatego próbował przestać się bać. Nie mógł też za bardzo się cieszyć. Pragnął spokoju, ale tak by pragnienie nie rozwinęło się w determinację. Powoli, powolutku osiągał spokój. Stan bezpłciowości. Bez żadnych odcieni. I tak było najlepiej.

Jedyną osobą, z którą czasami rozmawiał, był Alek. Rozmawiał z nim, bo razem pracowali, a ciężko razem pracować bez rozmowy. Alek po przyjeździe z Ameryki był dla Staszka kimś. Był wolny i robił, co chciał. Z czasem jednak Staszek zauważył, że marzenia, które zawdzięcza Alkowi, są głośne i puste. Pobudzały wyobraźnię i rodziły w nim emocje, których tak się obawiał. Dlatego starał się omijać Alka. Ten nawet tego nie zauważył, bo Staszek był tylko Staszkiem – chłopakiem, którego można było posłać po szlugi i który nigdy się temu nie sprzeciwiał. A poza tym to jakby go nie było.

Staszek nie pamiętał, kiedy zaczął chodzić do dziada. Z początku przychodził, żeby dziad coś poradził na jego strach, ale dziad milczał. I to właściwie Staszekowi wystarczyło. Z dziadem czuł się dobrze. Opowiadał mu o swoich wizjach, a dziad milcząco wysłuchiwał. Wcale nie był taki straszny. Wizje osłabły i znikły dreszcze. Staszek przynosił dziadowi trochę tytoniu i jedzenia. A dziad uczył go sposobów na choroby i któregoś dnia pokazał mu swoje Pismo. To z Pisma Staszek wyczytał, że mężczyzna jest zadowolonym z siebie samcem bezlitosnego gatunku, a kobieta największą zbrodniarką, bo daje początek życiu, które jest okrutnym wyrokiem.

## PEGEERY I NIE TYLKO

Akurat w tym miejscu było naprawdę brzydko. Jedyne, co rozświetlało otoczenie, to betonowa kałuża boiska, niezmienna między szarymi blokami. Sterczał z niej przekrzywiony trzepak. I to wszystko. To były pegeery. Z biedy brud tutaj był i nuda z braku roboty. Każdy każdego znał i niewiele mieli sobie do powiedzenia. Jediną atrakcją był sklep spożywczy, gdzie więcej było wina niż chleba, no i „Zagroda” pani Marioli.

W pegeerach zachowane zostały pewne proporcje. Trochę mężczyzn, trochę kobiet. Całą okolicę zasiedlali podstarzali kawalerowie, bo kobiet było mniej w tym świecie, ale w pegeerach było ich prawie tyle co mężczyzn, chyba dlatego, że mieszkaly tu przede wszystkim rodziny. Rodziny wielodzietne i głośne. Dzieciaki biegały brudne i zaniedbane. Bardzo ruchliwe i ciekawskie. Zastygały w słupy soli, gdy przyjeżdżał ktoś nie stąd. Taki ktoś był bardzo interesujący, już przez sam fakt, że nie stąd.

Tu, w pegeerach, chłopcy cały czas byli na lekkim rauszu. To jakieś winko, to bimberk albo inny wymysł – byle nie dopuścić do siebie myśli, że jest źle. Ostatnio zaczęli rozmawiać o polityce. W telewizji pojawiła się postać, która pobudziła ich wyobraźnię. Nazywał się Andrzej Pasieka. Gdzieś stąd, podobno z Kulszewek, tylko nikt nie wiedział, czy z Małych, czy z Dużych. Podobno chciał, by chłopcom było lepiej i mówił dobrze, bo rozumiałe.

I zdarzyło się pewnego dnia, że Pasieka przyjechał do pegeerów. Ludziom oczy wyszły na wierzch, bo przyjechał samochodem większym i pewnie droższym od najdroższego samochodu Myśliwskiego. Samochód Pasieki musiał być naprawdę drogi, bo nie za bardzo wiadomo było, jak się nazywa i nikt wcześniej takiego nie widział, nawet w telewizji. Pasieka jednak wysiadł z tego samochodu nie w garniturze, jak na polityka przystało, ale ubrany w swojski dres z ortalionu. Ludziom ulżyło, gdy zobaczyli Pasiekę po swoimemu.

Wszyscy skupili się wokół niego na boisku, a on im mówił, że wybory się zbliżają, a przecież on dba o ich interesy i że on też jest dzieckiem Pegeeru! Dlatego powinni mu zaufać, a tak w ogóle, to poza ich głosem, bo już zostało postanowione, że oddadzą na niego głos, skoro jest ich ziomkiem i jako jedyny w tym kraju może wyciągnąć ich z tego gnoju, w którym żyją, to poza tym głosem przydałby się jakiś grosz, żeby w wyborach miał równe szanse z tymi złodziejami z rządu, którzy teraz są przy żłobie, ale niedługo to będzie jeszcze trwało, bo jak on, Pasieka, wejdzie do rządu, to wykurzy tych wszystkich darmozjadów, obiboków i bałwanów. Ale żeby to się udało, to, ludzie kochani, musicie dać jakiś pieniądz i wtedy będzie można utrzyć nosa tym złodziejom.



Pasieka był przekonywujący. Niewielki wzrostem, nie wystawał ponad innych, ale fryzurę miał zadbaną i w ogóle był zadbany, a w spojrzeniu miał coś tak rozkazującego... No i mówił mądrze, tak że każdy rozumiał, o co mu chodzi, i te jego słowa waliły jak obuchem w łeb, takie były trafne... Wszyscy rozumieli, że te pieniądze naprawdę są mu potrzebne, że bez nich i oni nie będą mieć pieniędzy kiedyś tam później, gdy Pasieka dojdzie już do władzy. Ale ludzie za bardzo nie mieli z czego dać. Niektórym już nawet nie przysługiwały zapomogi, to z czego mieli żyć?

Jedni udawali, że coś tam grzebią w kieszeniach, ale grzebali i grzebali, i nic nie wygrzebali. Inni patrzyli do góry, że niby na deszcz się zbiera, a tu jak na złość słońce świeciło i żadna chmurka nie nadpływała nad pegeery. Kobiety to już w ogóle rozeszły się do mieszkań, bo obiad trzeba było przygotowywać. Zrobiło się jakoś niezręcznie i wtedy jeden z dwóch dryblasów, co to przyjechali z Pasieką, szepnął mu coś do ucha. Pasieka wysłuchał dryblasa i spytał się ludzi, jak dojechać do Myśliwskiego. Gdy mu odpowiedzieli, jeszcze na odchodnym pomachał im pięścią:

– Chłopy, co to, to nie! Jak my tak sobie będziemy pomagać, to do niczego nie dojdziemy, a rządowe hieny ze wszystkiego nas ograbia!

I ludziom zrobiło się głupio, bo wiedzieli, że Pasieka ma rację i bardzo, bardzo go za to kochali.

\*

Myśliwski patrzył na spoconego Pasiekę i dwóch dryblasów z wyraźną niechęcią. Właśnie przed chwilą Pasieka skończył głośną orację i Myśliwski już wiedział, kto taki do niego przyjechał. Wcale nie miał zamiaru zapraszać ich do swojego domu. Pasiekę to zdenerwowało. Przyzwyczał się do ludzkiego uwielbienia. Zaskoczony był postawą Myśliwskiego, który w dodatku cały czas trzymał w ręku strzelbę. Przed chwilą ustrzelił szczura w oborze.

Myśliwski nie wykladał trutki, bo mogła zaszkodzić zwierzętom. Zresztą lubił strzelać do szczurów. Gdy naciskał spust, ofiara na moment zastygła na belce pod powałą. W jej mózg wkradał się dźwięk inny niż tupot własnych łapek. Szczur sztywniał w nieruchomy odlew. Była to krótka pauza w taktie pospiesznych szesnastek. Wąsy nerwowo drżały, jakby w przecuciu, że za chwilę spłonie cały świat, bardzo szybko i skutecznie.

Tylko że po prawdzie, to Myśliwski rzadko te szczury trafiał. Właściwie poza tym jednym razem to nie trafił ani razu. No bo jak miał trafić, gdy zawsze strzelał po pijaku? A dlaczego po pijaku? Bo tylko po pijaku można było wpaść na pomysł strzelania do szczurów. Teraz też był troszkę wstawiony, ale tylko troszkę. Może dlatego w końcu mu się udało.

– Takiemu wielkiemu politykowi potrzebne są pieniądze? – krzywo uśmiechnął się Myśliwski.

– Może jednak porozmawiamy o tym w środku – próbował wprosić się Pasieka.

– Może jednak nie – Myśliwski oparł się barkiem o framugę drzwi.

Pasiekę zatkąło. Spurpurowiał i krople potu zrosiły mu czoło. Dotąd nie spotkał się z tak bezczelną odmową, ale w końcu musiało to kiedyś nastąpić. Jeszcze przez dobrą chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– To mają być pieniądze na fundusz wyborczy. Robię to przecież dla was chłopów! A ty mi tu...

I w tym momencie Myśliwski mu przerwał, co jeszcze bardziej oburzyło Pasiękę.

– Jak chcesz ode mnie pieniędzy, to podwijaj rękawy i jazda do tartaku. Trochę porobisz, to coś zarobisz – beczelnie zaśmiał się Myśliwski.

Dwa dryblasy szarpnęły się jak psy na smyczy. Pasięka zatrzymał ich uspokajającym gestem.

– Ty, Myśliwski, nie wiesz, z kim zaczynasz! – syknął przez zęby.

– Ty, Pasięka, nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz!

Tym razem dla odmiany Pasięka zbladł. Strużka potu poleciała z czoła przez szyję i zmoczyła podkoszulek. Dryblasy przestępowały z nogi na nogę. Myśliwski jakby od niechcienia podniósł lufę strzelby lekko w górę i w ich stronę.

– Pasięka, zanim powiesz, co chcesz powiedzieć, to wiedz, że ja nie jestem z tych, których można ruszyć – spokojnie powiedział Myśliwski.

– Dlatego odpuść sobie i szukaj innych.

I Andrzej Pasięka zapamiętał sobie zniewagę i już nic nie mówił. Na razie zacisnął zęby i już nic nie mówił. Na razie jeszcze powstrzymał dryblasów. Na razie się odwrócił i wsiadł do limuzyny. Na razie odjechał. Na razie...

I Józef domyślał się, że Pasięka pojechał stąd tylko na razie. Domyślał się, że tu wróci. Ale na razie nie bał się tego. Na razie nie bał się jeszcze niczego.

Za pegeerami, jeśli było słońce, błyszczała rzeka, która jak żyła w serce wpadała do jeziora, a z jeziora dalej, w morze. I ta rzeka późną jesienią czerniała od pękatych kadłubów troci. Rozleniwione ikrą ryby milcząco wyginały się na zaostzonych hakach z drutu, które chłopcy z pegeerów wbijali w ich boki. Wystarczyło tylko szarpnąć i już ryba mieniła się w górze. Później wyrwać hak z boku i zacząć się na następną. Ryba powoli i cicho zdychała na trawie, a rozległa rana widniała w niej jak lej po zdrapanym wrzodzie.

Choć najwięcej polowały dzieci, zdarzało się, że i chłopcy, szczególnie gdy zabrakło na picie. Taka troć swoje kosztowała. Wystarczyło pójść do Sękowiaka i obcy kupowali jak ogłupiali. Sękowiak wybił prądem wszystkie ryby w jeziorze i zostały tylko marne płotki, może trochę okonków... A przecież taka troć to bydłak, że aż miło! Na flachę zawsze się uzbierało. Nie wszyscy oczywiście, nie wszyscy, większość łowiła na obiad, ale tych kilku i jeszcze kilku, co prawie dawało większość, łowiło na picie.

No bo co z tego życia? W takim pegeerze można tylko zgnić z nudów. Mieli wrażenie, że coś im zabrano i pozostawiono na pastwę samych siebie. Nigdy nie uczono ich zostawać sam na sam ze sobą. Zawsze ktoś mówił im, co mają robić. Teraz nikt im nic nie mówił. Mieli mówić sobie sami. Nie przygotowano ich do tego. Zostały tylko wspomnienia i były o wiele ciekawsze od teraz. Bo teraz żyli w biedzie. A bieda jest bardzo nudna.

I bardzo śmierdzi. Jak zepsuta ryba. Biedy się nie przeje. No bo czym przejeść, skoro bieda? Ale można ją zapić. Tylko że wtedy trzeba dużo pić. Aż świat przestanie śmierdzić rybą.

## DOM I NIE TYLKO

Jedyne, co Myśliwski kochał bardziej od tartaku, to swój dom. Dumny był z niego, bo dom był wielki i nawet nowoczesny, choć budowany przez wiele lat. Dwupiętrowy z piwnicą. I właściwie poza zejściem do piwnicy wszystko w nim było wykończony, wymalowane i przybite.

Nie każdy ma swój dom. Właściwie to mało kto ma swój dom. I dlatego wielu zazdrościło Myśliwskiemu takiego domu. Własnego domu. On o tym wiedział i nawet sprawiało mu to przyjemność. Jak zapracują, to będą mieć! – mówił czasami do Marii, a ona milcząco przytakiwała, no bo jak inaczej? Przytakiwała, bo i tak nigdy nie przyznał jej racji. Rozmowa między nimi zaczynała się i kończyła na jego stwierdzeniu. Zazwyczaj nie trwała dłużej niż jego zdanie i jej brak zdania.

Myśliwski lubił sobie wyobrazać, że buduje dom dla dużej rodziny. Wyobrażenia zdmuchnęła rzeczywistość. Maria już nie mogła mieć dzieci. Właściwie to powinien znaleźć sobie nową żonę, ale wszystkie inne to kurwy, a przecież kurwa nie może być matką jego dzieci, przynajmniej nie w jego domu.

W tym domu czuł się dobrze. Szczególnie w nocy, gdy Maria i Krzysztof już spali, i mógł spokojnie spacerować i patrzeć, co za oknami. W jednym i drugim oknie widział ścianę lasu, którego głęboka czerń odcinała się od wypłowiałej czerni nieba. W trzecim, takim wielkim, panoramicznym, widział swój tartak. Przyglądał się skulonym w zaułkach cieniom, które pragnęło pożreć żółte światło lamp, oświetlających plac, maszyny i składy drewna. Zza wypełnionych czernią brył strzelały smugi blasku, ale to nie ożywiało obrazu, bo wszystko zastygło jakby w oczekiwaniu na jakiś głęboki oddech, który miał odmienić świat. I Myśliwski cały tkwił w tym oczekiwaniu, gotowy na wielkie zdarzenie. Ale zdarzały się jedynie drobne incydenty, które budziły z odrętwienia. Przez plac pomiędzy składami drewna cicho przemykały dwa psy, które Józef zawsze wypuszczał na noc, by pilnowały tartaku.

W domu był duży hol, gdzie żył ogień w kominku. Myśliwski lubił przed nim przesiadywać. Wieczorami. Z dobrym koniakiem w ręce. Sam. Płomienie tańczyły w jego oczach i choć wcale go nie rozweselały, to ich gwałtowne, ale rytmiczne podskoki uspokajały go. Myśliwski zawsze potrzebował czegoś, co mogłoby go uspokoić. Uspokajał go alkohol i kobiety, kiedyś jeszcze praca, ale odkąd miał kłopoty, zaczęła go męczyć.

Coraz częściej dręczył go niepokój, czy uda mu się wyjść z długów. Czy uda mu się uratować dom i tartak. Myślał o tym, że nie kocha swojej żony, choć akurat tym się za bardzo nie przejmował... Brakowało mu czegoś, ale nie bardzo wiedział czego. Przede wszystkim jednak bał się, że zostanie sam, że któregoś dnia jego jedyny syn pójdzie sobie gdzieś i zostawi go. I Marię. Ale, co tam Maria! Ona już nic.

Bo ona trochę gubiła się w tym wszystkim. Nie rozumiała, o co chodziło Józefowi, gdy patrzył na nią tak strasznie, aż zaczynała się bać. Dom był dla niej za duży. Nie potrafiła go dobrze wysprzątać. Zanim skończyła w jednym kącie, w drugim zalegały się puszyste gniazda kurzu. Nie chciała prosić Józefa o sprzątaczkę, bo ostatnio narzekał na brak pieniędzy, a zresztą nie chciała mieć pod samym nosem konkurencji. Dobrze wiedziała, jaki jest Józef. Dlatego nie prosiła go o sprzątaczkę. Sama wszystko wysprząta. I dwa piętra domu zginały ją do ziemi.

Maria biegała z góry na dół i wiedziała, że nigdy się nie przyzwyczai. Po co Józef zdecydował się na dobudowanie drugiego piętra? Przecież mogło zostać tak, jak było. Bez tego dodatkowego piętra. A teraz ludzie z pegeerów nazywali dom zamkiem, bo taki wielki. Przez tę swoją wielkość aż pusty. Ale to jej wina. Gdyby nie było z nią problemów, po domu biegałyby dzieciaki i dom byłby w sam raz. Józef ma prawo tak na nią patrzeć. To ona zawiodła. On wywiązał się ze wszystkiego. Jest duży dom. Zrobiony na tip top, choć jeszcze nie spleacony. Ale jeśli wierzyć Józefowi, to drobiazg.

Takim drobiazgiem była też poręcz przy zejściu do piwnicy. Była drobiazgiem, bo właściwie jej nie było. Nie z braku pieniędzy, ale z braku ochoty. Krzysztof już wyleczył się ze strachu przed piwnicą, ale zanim to nastąpiło, niejedno zobaczył i przeżył. Wejście do piwnicy było w przedsiionku i zawsze wiało stąd chłodem.

Krzysztof, jeszcze gdy był Krzysiem, wierzył, że w piwnicy gniją trupy ludzi. A kawałki tego, co z nich zostało, pochowane są w workach z kartoflami. Gdy zanurzał rękę w taki worek, bo trzeba było kartofli na obiad, zawsze musiał chwycić jakiegoś zgniłka. Palce miękko wchodziły w rozlewającą się na zdrowe bulwy maź i Krzysztof bardzo się brzydził. W żółtym świetle żarówki, co zwisała z sufitu, brąz oblepiający rękę wyglądał jak gównno albo zgniłe ciało.

Kontakt tkwił na samym dole. I to było najgorsze. Najpierw w ciemności trzeba było zejść schodami i bardzo przy tym uważać, bo przecież brakowało poręczy. A ten przeklęty kontakt był na samym dole. Ciche pstryknięcie i dopiero zbawienny wybuch w oczach przeganiał zmory, które przez całą drogę w dół przekonywały wyobraźnię, że jakaś ręka zaraz chwyci za twarz i zedrze ją jednym szarpnięciem. Lecz ten morderczy ruch wcale nie musiałby wywołać bólu w chwili uderzenia, bo strach, który budziła ręka, wcześniej mógł ściąć serce w nieruchomy skrzep.

\*

Każde spojrzenie matki było dla Krzysztofa wyzwaniem. Nie chciał godzić się na jej miłość, bo musiałby wtedy udawać kochającego syna. Nie podzielał uczuć rodziców, ponieważ czuł, jak próbowały uzależnić go od siebie. Nie włączał się do gry w miłość z matką i w posłuszeństwo z ojcem. Nie chciał tego!

A jednak zmuszali go przy każdej okazji, by jego twarz odzwierciedlała to, co w niej pragnęli zobaczyć. Zazwyczaj przy okazji jakiegoś święta, które wymagało wspólnego wysiadania przy stole. Wtedy czuł, że musi stosować się do ich humoru i w razie potrzeby zmieniać twarz tak, by czasem nie zaskoczyć ich jakimś niemiłym, niepokromionym grymasem, który nie powinien się zdarzyć, ponieważ mógł doprowadzić matkę do płaczu, a ojca rozwścieczyć.

Oni wobec niego nie odczuwali większych wyrzutów sumienia. Przecież ich syn miał wszystko, czego zapragnął. Nie pozwalali sobie na żadne poczucie winy, podczas gdy on musiał okazywać skruchę, bo zawsze czuł się wobec nich winny. Nie wiedział, jak to się dzieje, ale nigdy nie miał dość siły, by zaprzeczyć im i udowodnić, że się mylą. Zawsze mieli rację, nawet jeśli jej nie mieli.



No ale przecież dawali mu czego dusza zapragnie! Byli wobec niego bez skazy. Absolutnie w porządku. Nawet jeśli siebie nienawidzili, to jego chyba nadal kochali. Każde na swój sposób, ale kochali. Ojciec poza tymi sporadycznymi sytuacjami, gdy musiał, nie bił go, nawet jeśli bił matkę.

On nie chciał ich miłości. Tracił na swoim sprzeciwie, a oni uzyskiwali przewagę. Matka na pewno. Próbował różnych wybiegów. Przede wszystkim rozbudzić w nich poczucie niespełnionego obowiązku. Ale to była zła droga. Przecież poza tym, że go kochali, nie miał im nic do zarzucenia. Jeśli już, to niewdzięczność wychodziła od niego. A przecież powinien być im wdzięczny za wszystko. To było nie do wytrzymania. I ta usługna zgoda na ich spojrzenia, które urabiały go na dobrego, kochanego i kochającego syna. Tfu! Próbował dalej. W końcu znalazł.

Okazało się, że najlepszym sposobem uwolnienia się od nich było niemyślenie o nich, nieprzejmowanie się, odpuśczenie ich sobie, spojrzenie na nich jak na obcych ludzi, niemyślenie o tym, że jednak oni coś do niego czują. Ale do tego trzeba było dorosnąć, to wymagało całkowitej samodzielności. Tak też się stało. Pewnego dnia przestał dostrzegać tkliwe spojrzenia matki i znaczące błyski w oku ojca, które miały oznaczać, że my to, synu, wiemy i tylko my, a tak naprawdę to ojciec z tą wiedzą został sam, bo Krzysztof już nie miał pojęcia, o czym wie ojciec i o czym wraz z nim, jako jego syn, powinien wiedzieć. Przestał się nimi przejmować. Zgubił sens rodzinnych szyfrów i wtedy zrozumiał, że droga wolna.

Teraz mógł odejść. I będzie tak, że odejdzie. Pierwszy raz bez wyrzutów sumienia. Z nauką w głowie, że im bardziej rodzice próbowali go przygnieść sobą, tym łatwiej on będzie przygniatać sobą innych.

W ptaku unoszącym się nad polem Maria widziała lekkie kości, dzięki którym mógł latać i nie musiał chodzić. Niczym nie obciążony – najwyżej myślą o jedzeniu. Taki ptak nie czuje ciężaru własnego ciała, nie ma w sobie nic z nieporadności, która przykuwa do ziemi. Jest ponad każdym stworzeniem.

Krzysztof jeśli przystawał i patrzył na ptaka, to nie dla jego lotu. Krzysztof czekał na decyzję ptaka. Łatwo rozpoznać drapieżnika, który wygląda ruchu tam w dole, na ziemi. Zawieszony nad głowami, oparty o unoszące go wiry, czeka. I Krzysztof czekał. A gdy ptak spadał w dół tak zdecydowanie, że za chwilę będzie musiał rozbić się o ziemię, Krzysztof na chwilę przestawał oddychać. Z rozkoszy kręciło go w dołku. Krótkie uderzenie szponami w nieostrożny łebek i bezwładna kupka sierści unoszona w górę oznajmiała sukces. Krzysztof znowu mógł oddychać.

Mieć w sobie ptasi mózdzek, który nie zmusza do myślenia – zastanawiał się czasami Józef. Bez zbędnego balastu kłopotów, kombinacji, by utrzymać się na powierzchni i nie stracić tego, co się zgromadziło. Ptak nie gromadzi. To człowiek chomikuje jak ten gryzoń. Ptak zabija gryzonia jednym uderzeniem dzioba. Mieć w sobie ptasi mózdzek, który nie daje wyobrażenia o niebezpieczeństwie. Życie bez świadomości, wykraczającej poza żołądek i lot.

## SZOSA I NIE TYLKO

Drogami, które brudziły buty piaskiem, jeśli było sucho, lub błotem, gdy było mokro, dochodziło się do szosy. Właśnie tu stał przystanek, z którego można było jechać do miasta i jeszcze dalej. I na tym przystanku Marian Zygmunt czekał na autobus. Musiał to robić, bo pracował w mieście i tylko autobusem mógł do tego miasta dojechać. Nieważne, co Marian Zygmunt robił w mieście, ważne, że jechał do niego autobusem.

W tym autobusie widział zawsze te same twarze. Wszystkie zebrane z okolicy i lekko zalatujące wiejskim zużyciem. A to ząb trochę bardziej wykruszony niż ten miejski, albo skóra silniej pomarszczona, chyba z braku droższych kosmetyków, i oczy trochę spokojniejsze, nie tak rozbiegane jak te miejskie – jakby więcej śniły, a mniej widziały.

Ale to wszystko mogło się tylko wydawać. Bo tak naprawdę dziś nawet największe zadupie nie jest największym zadupiem, choćby dlatego że skończyły się czasy, w których wszędzie było daleko, a przyszły czasy, w których wszędzie jest blisko i każdy, czy miejski, czy wiejski, tak na dobrą sprawę śmierdzi tymi samymi perfumami i nosi taki sam płaszcz albo spodnie i właściwie wygląda tak samo... Ale to nieważne. Grunt, że Marian Zygmunt żadnej z tych rzeczy nie zauważał i żadna z tych spraw go nie interesowała.

Zawsze, gdy jechał do miasta, bezmyślnie patrzył przez okno. Za oknem pas szosy płynął w dół z prędkością autobusu i zlewał się z pasem piasku i trawy. Wreszcie pasy wzajemnie przepychały się jak warstwy makowca. Drzewa rozmywały się w migocący potok i wyglądało to, jakby zielonobrzowy płyn gwałtownie wylewał się z przerwanych żył. Smugi płynu zostawały za głową, a Marian Zygmunt był przekonany, że skrapiały go chłodne krople i wcierał je ręką w tłuste włosy, przylepione do czaszki.

\*

Na szosie zdarzały się wypadki i autobus musiał się zatrzymać. Ludzie byli spóźnieni do pracy, bo ktoś za bardzo się spieszył. Jakiś kierowca wjechał w tyłek wielkiemu TIR-owi.

Marian Zygmunt nie był ciekawy wypadków. Nawet nie wysiadł z autobusu. Zostawał na miejscu i patrzył przez okno na nieruchomą przestrzeń pól.

Dlatego nie widział tego, co widzieli inni. Z pomarszczonego samochodu wyciągano bezwładne ciała. Ludzie spanikowali – nie wiedzieli, co zrobić z przerażonym trzylatkiem, który przeżył. Odstawili go razem z dziecięcym fotelikiem na pobocze, a on siedział w tym foteliku unieruchomiony pasami, patrzył i prawie dusił się od płaczu. Wszystkim działał na nerwy. W końcu uprzętnęli ciała i wzięli dzieciaka. I zrobiło się pusto i cicho, a wrak samochodu stał ze zmiażdżonym pyskiem i jakoś tak bez sensu.

Dużo na tej szosie było wypadków. Ludzie w autobusie opowiadali sobie, jak raz rozwalił się tutaj jakiś biznesmen i gdy już zapakowano go do worka, to z tego worka rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Nie wiadomo, kto dzwonił do trupa, może interesant, a może żona, matka albo córka, albo syn... Nikt nie odważył się rozpiąć worka i sięgnąć po telefon. Słodki zapach złośliwej siły unosił się nad szosą.

Marian Zygmunt nie słuchał ich. Nie widział żadnego z wypadków. Nie interesowało go to. Natomiast ludzie, którzy widzieli, powtarzali między sobą, że taki wypadek na żywo zawsze wygląda lepiej od tego, co później pokazują w telewizji. Tylko że Marian Zygmunt nawet telewizji za bardzo nie oglądał.

\*

Gdyby oglądał, wiedziałby, kto to jest Andrzej Pasięka. Ale nie oglądał, to nie wiedział. A Jędrus, jak go zwali, postanowił któregoś dnia zatarasować szosę, tak żeby nie można było nią przejechać. Użył do tego miejscowych chłopów, którzy za bardzo nie mieli co robić, to stanęli zwartym szeregiem w poprzek szosy. Postawili też traktory. Po jakimś czasie znalazła się wódka i kiełbaski. Wszystko od Pasięki. Chłopy rozpalili ognisko pośrodku szosy i już nie stali, nie chodzili, ale leżeli. Grunt, że samochody nie mogły przejechać. A wszystko dlatego, że w kraju źle się dzieje i chłopów bieda ściska. Rząd trzeba przycisnąć, by chłopom było lepiej! – krzyczał Pasięka, a jego twarz czerwieńiała radością.

Ludzie wysiadali z samochodów i najpierw prosili, potem grozili, aż wreszcie co niektórzy rzucali się z pięściami, ale chłopci wrzucali agresorów do przydrożnego rowu.

Marian Zygmunt jak inni wysiadł z autobusu. Jednak nie przyłączył się do krzykaczy, którzy grozili chłopom. Po co miał się rzucać, jak szosę blokowali sami znajomi. Podszedł do nich. Przywitani go wesoło. Pasięka nawet uściśnęła mu dłoń. Zaproponował Marianowi przyłączenie się do blokady. Marian – owszem, owszem, ale może jednak nie. No, to poczęstowali go kieliszkami i kiełbaskami. Skorzystał. A gdy zrobiło mu się w środku ciepło, z żalem stwierdził, że musi iść do pracy. Gdzie tam, taki kawał! – namawiały go chłopcy. Ale Marian jak się uparł, to się uparł. I poszedł.

A gdy tak szedł, ze smutkiem rozmyślał, że nie jest wolny. Że nie może robić, co chce. Już nie. Odkąd ożenił się z tą jędzą i córka mu podrosła, wolność się skończyła. A przecież tylu kawalerów było dookoła, to nie, musiała wybrać właśnie jego, jędza jedna! Nie miał nic dogadania. Cóż, na przeznaczenie nic nie poradzisz. Trzeba dźwigać swój garb. Trzeba zapierdalać do fabryki, żeby jędza nie suszyła później głowy. Tak sobie myślał i szedł. Nie widział nic, co się dzieje dookoła, bo myślał.

I nie mógł widzieć, jak do blokady zbliża się Myśliwski. Musiał po coś jechać do miasta. Nieważne po co, ale ważne, że teraz szedł w stronę pijanych chłopów. Znał ich wszystkich z pegeerów. Poznał też Pasiękę. Już z daleka. Pasięka też poznał Myśliwskiego. Też z daleka. Stanęli naprzeciwko siebie, prawie dotykając się nosami. To znaczy, dotykałoby się tymi nosami, gdyby Pasięka był nieco wyższy. Chłopcy zamilkły. Zamilkły śmiechy i dyskusje. Zamilkły kłótnie. Nikt nawet nie odważył się wytrzeć tłuszczu po kiełbaskach, który ściekał po brodach, bo napięcie pomiędzy Pasięką i Myśliwskim zamieniło powietrze w litą skałę. Tylko jakiś ptaszek nieśmiało pisnął, ale szybko spadł martwy na ziemię, bo wszyscy na niego spojrzeli tak, że można było tylko paść martwym, by się uratować.

– No, Józus! – prysnął śliną Pasięka.

– No, Jędrus! – syknął Myśliwski.

Jędrus skinął na chłopów.

– Na złodzieja! – wrzasnął patetycznie. Ale nikt się nie ruszył. Tylko jakiś niewielki kamyk, nie wiadomo skąd, zatoczył szeroki łuk w powietrzu i bardzo wolno, jakby spadał na dno morza, wylądował na czole Myśliwskiego. Rozkwitł czerwony kwiat. Coś spłynęło na oczy Myśliwskiego, który jeszcze nic nie rozumiał. Pewnie wydawało mu się, że to ptak nasrał, ale gdy krew zalała mu oczy, wytarł ręką i zobaczył, że rękę ma brudną. Wtedy zrozumiał.

Chłopcy rzuciły się na niego. Wykrzywione, nabrzmiące twarze. Myśliwski wyrwał im się, zanim go otoczyli, by wgnieść w asfalt. Dobiegł do swojego mercedesa i zdążył się w nim zamknąć. Rozpłaszczono nosy na przedniej szybie. Jakiś ząb kreślił rysę.

Myśliwski zrozumiał, że coś się zmieniło. Zawsze myślał, że jest inaczej. Teraz zobaczył, że inaczej myślą inni.

\*

A potem blokady nie było. Marian Zygmunt wracał znowu autobusem i pot skraplał się na szybach. Śmierdziało zmęczeniem. Tłok odbierał oddech. Marian Zygmunt nie zauważał tego potu i smrodu, bo sam śmierdział i pocił się silniej od innych. To dlatego, że nigdy nie wracał bez kilku browarów wlanych w siebie, a browar jak to browar, wychodził skórą, unosząc się żółtym fetorem przetrawionych wymiocin.

Czasami, jeśli miał ochotę, Marian Zygmunt przyglądał się stanowiskom kierowców. Różnie wyglądały. Bogato zdobione, jak kościelne ambony. Inne skromniejsze, jak mieszkanie kościelnego. Akurat u tego kierowcy było skromnie. Zaledwie trzy proporczyki z klubami piłki ręcznej, no, może na jednym widniał ratusz jakiegoś miasta. Pomiędzy proporczykami podskakiwały kolorowe pieski i zajaczki, no i w osłonę przeciwsłoneczną kierowca wpiął sobie orzełka, pewnie z wojskowej czapki, tak na pamiątkę. To wszystko. Żadnego krzyżyka albo obrazka z Matką Boską. A przecież poświęcone gadzety były najpopularniejsze.

Marian Zygmunt pamiętał jednego kierowcę, który całą tapicerkę nad przednią szybą miał oklejoną naprzemiennie to Chrystusem, to gołą babą, to Maryją z Dzieciątkiem, to dwiema babami, co lizały się językami. Na końcu drążka do biegów miał bursztynową gałkę, z wtopionym wizerunkiem papieża, tak by bezpieczniej przerzucało się biegi. Musiał być wierzący.

Rzadko się zdarzał taki, który nie miał nic. Coś gdzieś musiało być wpięte. Widocznie dzięki temu jeden z drugim czuł się prawie jak u siebie w domu, może nawet trochę bardziej pan i władca, a nie tylko jakiś tam kierowca z asfaltem w mordę.

Po wyjściu z autobusu Marian Zygmunt wracał do domu wzdłuż szosy. Chybotał się na krawędzi asfaltu i zarośniętego trawą pobocza. Jego wrodzona zdolność utrzymywania pionowej postawy pozwalała mu iść w linii prostej. Mógł być spity w trupa, a jednak nie zbaczał z raz obranego kursu. Był to pewien fenomen, nad którym nigdy się nie zastanawiał i przez to nie wiedział o swoim wybitnie zrównoważonym błędniku, który chybotał się w jego uchu jak wańka-wstańka, co nigdy nie upadnie, nawet jeśli popchnie ją złośliwa siła.



Na poboczu było wiele ofiar złośliwej siły. Leżały odrzucone w rowach. Trafiał się zając, który nie zdążył przeskoczyć szosy, albo strącony w locie ptak. Czasami pies z obnażonymi zębami w dziwnym uśmiechu, jakby na chwilę przed uderzeniem nie wiedział, czy ma ugryźć, czy polizać. Ale Marian Zygmunt nie przyglądał się temu.

Złośliwa siła omijała go z daleka. Pomimo bliskości przemykających samochodów, Marian Zygmunt nigdy się nie zachwiał, nie zepchnął go pęd powietrza i nie wessał pod koła pędzących ciężarówek. Z pochyloną głową parł do przodu. Nie zauważał zgniecionych puszek po piwie, błyszczących opakowań po chipsach, paczek po papierosach i innego kolorowego syfu. Czasami tylko pochylał się nad wyrzuconym niedopałkiem i jeśli nadawał się jeszcze do czegoś, chował go w kieszeń spodni.

W końcu najspokojniej w świecie schodził z szosy na drogę, która brudziła buty błotem, jeśli było mokro, lub piaskiem, gdy było sucho, i docierał do pegeerowskich bloków, gdzie mieszkał, a gdzie Józef Myśliwski, jeśli miał na to ochotę, zapładniał poszczególne lokatorki.

\*

W ciasnym mieszkanku z grzybem na ścianach Mariana Zygmunta niestety witała żona i córka. Córka rzadziej, bo zazwyczaj znikwała na całe dni. Marian Zygmunt, gdy był trochę trzeźwiejszy, czasami miał o to pretensje.

– Ciesz się, że masz taką obrotną córkę. Gdyby nie ona, dawno byśmy suchy chleb musieli wpieprzać – zrzędziła mu żona.

Marian Zygmunt mruzczał coś pod nosem i jadł odgrzaną zupę. Ale postanowił sobie, że jak tylko będzie okazja, to rozmówi się porządnie z córką. Zdarzyła się na niedzielnym obiedzie. Siedzieli we trójkę przed talerzami i gapili się w telewizor. Marian Zygmunt jak zwykle nie za bardzo w telewizor, tylko trochę obok, za okno, dzisiaj wypełnione czystym błękitem bezchmurnego nieba. Córka już chciała wstać od stołu, gdy Marian Zygmunt powiedział, jak na niego bardzo stanowczo, by jeszcze poczekała.

– A za to, co robisz, ksiądz z ambony ciebie nie wskazuje? – spytał córkę.

– Co ty, ojciec! Ksiądz mnie chwali, że pomagam rodzicom. A zresztą jak chciałby wskazywać, to musiałyby wskazać połowę pegeeru. Bo to ja jedna? – szczebiotała córka.

– Jedna, niejedna, ale dlaczego właśnie ty?

– Na jakim ty świecie żyjesz? Przecież żadna z nas nie robi tego z miłości. To jest normalna, zwyczajna praca.

– Gdybyś był bardziej obrotny, toby nie musiała całymi dniami siedzieć w pracy – wtrąciła swoje żona.

– E tam! – zirytował się Marian Zygmunt i dodał po chwili już spokojniej: – Ale to chyba trochę niebezpieczne.

– Ojciec, ty to naprawdę nic nie wiesz. Przyjeżdżają po nas takim minibusem i dowożą na miejsce. Tam przynajmniej jest wesoło, drinki za darmo, ciekawi ludzie, czasami nawet z zagranicy.

– I przynosi do domu porządną pensję, a nie te twoje marne kilka setek – znowu żona.

– Mam uczciwą pracę – bronił się Marian Zygmunt.

– Od dwudziestu lat w jednej fabryce – żona wzniosła ręce do góry w geście rozpaczy.

– A co, może moja nieuczciwa? – zaatakowała córka. – Własną dupę nadstawiam!

– No, no, no! – próbował ją uspokoić.

– Jakbyś był taki obrotny jak Myśliwski, toby nie musiała – piszczala żona. – Ale taki Myśliwski to chłop z jajami, a nie takie to... – spojrzała z pogardą na męża.

Marian Zygmunt zerwał się z krzesła:

– Bo jak ci...

– No, tylko spróbuj – wyzywająco kiwała podbródkiem w jego stronę. – Bądź mężczyzną!

– Nie mam krewnych w urzędzie skarbowym, ani znajomych w biurze, ani brata w sejmie, ani dobrego wujka w Ameryce – wycedził przez zęby i już szedł do przedpokoju.

– Nigdy nic nie potrafiłeś! Nawet twoja własna babka nie przepisała na ciebie domu. A ja tak na to liczyłam. A ty nie, nic! Zawsze na końcu, po wszystkich! Nawet na ryby nigdy się nie wybrałeś! Co chwilę któraś mi mówi, że rybę z rzeki usmażyła, albo jej stary wypił sobie za rybę i dobrze, bo nie przepił zapomogi, a ty jak zwykle nic. Masz robotę, ale jak nic! Gdyby nie nasza córka, tobym chodziła w tym samym płaszczu od dwudziestu lat! – jak zwykle nakręcała się żona. Marian Zygmunt właśnie zakładał pierwszego buta.

– I jeszcze to nazwisko. Zygmunt! Jak imię. Co za wstyd! – krzyczała mu nad głową żona. – Nigdy się do niego nie przyzwyczaję, słyszysz?!

Marian Zygmunt właśnie zakładał drugiego buta.

– A idź do tej pizdy Marioli! Do tego burdelu! Znowu zeszczaj się w gacie! – jeszcze głośniejszym głosem krzyczała żona.

– O niej przynajmniej nie mówią, że kurwa! – wreszcie odezwał się Marian Zygmunt i spojrzał znacząco na córkę. – Zresztą wcale już nie jest taka jak dawniej – mruknął pod nosem, ale chyba ze smutkiem. Gdy sięgał po kurtkę, rzuciła się na niego córka, jakby obudzona z krótkiej drzemki i przez to chwilowe zaniedbanie bardzo rozzłoszczona:

– Nie mówią, nie mówią?! Gdybyś chodził do kościoła, tobyś wiedział. Właśnie o niej ksiądz mówi, że Sodoma i Gomora! Że kurewstwo w oczach i na oczach!

– Ten wasz ksiądz to też niezły gagatek! Myśli, że mu wszystko wolno. Podobno za spowiedź każe sobie płacić...

– Mi nie każe – wyrwało się córce i zaraz zamilkła. Chyba się zawstydyła, ale że wstydyła się rzadko, nikt tego nie zauważył.

– Plebanię na cmentarzu wybudował – powiedział Marian Zygmunt.

– Tak tylko Staszek od Myśliwskiego mówi! – córka już ochłonęła i znowu była sobą. – A wszyscy wiedzą, że to świr.

– Staszek broną kości wykopał i kawałki nagrobków – mówił Marian Zygmunt, o tym, co usłyszał od Staszka. Już nie chciał dodawać, że Staszekowi te kości stały przed oczami i ustawiły się w upiorne szeregi, i zaczęły krzyczeć, że dłaczego im przeszkadzają spokojnie leżeć, przecież zachowywały względną harmonię ludzkiego kośćca, a teraz co z nich zostało?! Ale ksiądz kazał wrzucić wszystkie kości na przyczepę i wywieźć na wysypisko, a psy poroznosiły je po okolicach i każdy myślał, że to po krowach jakichś albo koniach, tylko że te kości były trochę mniejsze niż końskie i krowie, ale ludzie dla spokoju sumienia udawali, że raczej to krowie i końskie niż jakieś tam inne... Marian Zygmunt nawet nie próbował mówić o tym z babami, bo i tak by nie zrozumiały.

– Ech! – machnął ręką. – O czym my tu w ogóle – i wyszedł z domu. Kobiety, o dziwo, milczały.

Marian Zygmunt odetchnął dopiero na szosie, choć właśnie w jego stronę jechała rozpędzona ciężarówka z dwiema przyczepami.

## CZAS I NIE TYLKO

Józef Myśliwski miał coraz mniej czasu. Banki domagały się dowodów zamówień, z których powinien mieć pieniądze na uregulowanie zadłużenia. Odsetki od niespłaconych kredytów rosły jak złośliwy grzyb w gardle, dusiły i zasmradzały powietrze, którym oddychał Myśliwski. Potrzebna była sprzedaż.

Tymczasem Marcin Panek robił głupią minę do złej gry. Nie przywoził już żadnych zamówień. Myśliwski zaczął naciskać Panka, żeby pokazał mu dowody obiecanego kontraktu, który miał przynieść grube tysiące. Panek obiecał, że jutro przyniesie papiery, a już za tydzień będą w drodze do dyrektora największej fabryki mebli w kraju. Po tej obietnicy więcej już się nie pojawił.

Józef nie był tym zniknięciem zdziwiony. Właściwie od pewnego czasu podejrzewał, że z Pankiem coś nie gra, ale sam przed sobą nie chciał przyznać, że mogłyby się sprawdzić wcześniejsze podejrzenia Marii.

W biurze tartaku Panek nie zostawił po sobie żadnych śladów. Tak jakby nigdy u Myśliwskiego nie pracował. Przeciwnie, brakowało kilku ważnych dokumentów, które czarno na białym wykazywały stopień zadłużenia Myśliwskiego. Musiały dostać się w ręce Panka i odtąd ten gnojek mógł je pokazywać konkurencji i nie tylko. Wystarczało to, by podkopać wiarygodność firmy w całym kraju.

Co tu robić? Nic. To chyba koniec. Pozostał spacer. Do Marioli. Im Józef był bliżej pegeerów, tym szybciej szedł. Po schodach to już wbiegał. Nie chciała go wpuścić. Musiała być w domu! I gdy już chciał odejść, otworzyła. Źle wyglądała. W koszuli nocnej, przeпоcona, z przetłuszczonymi włosami. Bardzo zmęczona. Powiedziała, żeby dał jej spokój. A jednak otworzyłaś! Wiedziałaś, że to ja i otworzyłaś!

Zaczęli się szarpać. W końcu mu uległa. Podrygiwał na niej, krztusząc się własną śliną. Od czasu do czasu lekko bił ją po twarzy. Nerwowo poruszał tyłkiem, nieporadnie jak piesek. Byle szybciej mieć to za sobą. Ona leżała sztywno jak deska. Tylko odruchowo zasłaniała się od ciosów. Udawała, że nie boli. Nie przed nim, przed sobą. Nawet go nie objęła. Patrzyła w sufit. Pierwszy raz z Myśliwskim nic nie czuła. Pierwszy raz z facetem nic nie czuła. Gdy skończył, podniósł się i naciągnął spodnie, które miał spuszczone na buty. Wcześniej nigdy tego nie widział, ale teraz zauważył, że ściany i sufit pokrywa grzyb. Sine i brązowe plamy były jak liszaje na brudnej skórze.

– Do kurwy nędzy! – klął, zapinając rozporek. – Do kurw...

Huk zatrzaśniętych drzwi niczego nie poruszył. Zapadł się bez echa. Oczy pani Marioli były ze szkła, ciało plastikowe. Tkwiło bez ruchu na łóżku, zwrócone twarzą w sufit. Ciche i bardzo samotne.

\*

Rzeka za pegeerami tworzyła rozlewisko, gdzie zlatywały się czaple. Krzyczały przy tym jak kobiety bardzo czymś przerażone. Szczególnie o zmierzchu ich głos stawał się niepokojąco ludzki. Tak jakby czas pomiędzy dniem i nocą uprawniał przyrodę do upodobnienia wszystkich gatunków roślin i zwierząt.

Na przełomie jesieni z zimą przełom dnia z nocą najwyraźniej zlewa się w nową jakość. Gęstniejąca szarość jak chłodna lawa powoli, ale jednoznacznie, przykrywa sobą świat. Ciemne bulwy drzew tracą swoją tożsamość i można dostrzec w nich czające się zwierzę. Łatwo ukryć się w szczerym polu. Wystarczy tylko stanąć i stać, a ciemna sylwetka człowieka zamieni się w pień drzewa ogołoczonego z gałęzi.

Wreszcie noc oślepia oczy. I dopiero po jakimś czasie, gdy wzrok się przyzwyczai do nowego świata, potrafi dostrzec, że w tej martwej czerni coś zaczyna się ruszać i wcale nie umarło, nie zginęło bezpowrotnie, ale wciąż jest, choć w innym świetle albo w braku światła, jednak wciąż jest... I żyje.

\*

Dziad lubił i umiał obserwować czas. Nie musiał się nawet ruszać z miejsca, by widzieć, jak twarz Marii Myśliwskiej staje się brzydka. Jak kurczy się jej młodość i przechodzą kolejne fazy życia. Jak w jednej chwili pomarszczona kulka niemowlaka wydłuża się w smukłą postać kobiety, by w końcu schylić się do ziemi.

W ostrych rysach twarzy Krzysztofa dostrzegął zapowiedź jego charakteru. Ludzie o kanciastym ciele muszą się nieźle napocić, by być dobrymi. Tylko czas potrafi te krawędzie wygładzić. Potrafi też zaostrzyć je jak brzytwę. Wtedy inni kaleczą się o takiego człowieka do krwi.

Dziad przyglądał się swojej ręce. Przypominała szpony ptaka, ale przy małym wysiłku potrafił skurczyć ją w swoich oczach do rozmiaru piąstki niemowlaka. Czas gubił się wobec tej zdolności. Brakowało mu oparcia, dzięki któremu mógłby określić się za chwilę albo po chwili, przed, po, czy właśnie teraz. Mógłby najwyżej przybrać postać węża, zjadającego własny ogon.

Dziad umiał też wsłuchiwać się w czas. Słyszał umierające trawy, z których soki wysały słońce i ziemia, a przecież przy narodzinach były tak hojne. Słyszał upadające drzewa i głucho pęknięcie spróchniałych wnętrzości. Pracę mrozu, który zabija larwy owadów, by latem nie zasypały nas swoją ilością. Ciche skomlenie zdychającego psa. Ostatni oddech kosztujący najwięcej sił.

Słyszał, jak rosną włosy i paznokcie. Suchy szelest schnącej skóry. Jej rozciąganie i opinanie ciała, aż zaczynała trzeszczeć. I słyszał, jak po jakimś czasie ciało stawało się dla niej za małe i skóra wiotczała w zbędne fałdy, w których otwierały się kratery cienia, wypełnione kurzem i brudem. I już nic nie mogło pomóc takiemu ciału i takiej skórze, bo na co one tu jeszcze?

\*

Gdy rośnie brzuch kobiecie, rodzi się nadzieja, że świeże życie przewycięży śmierć. Małe usta krzyczą głośniejsz od bólu matki, który już minął, przestał istnieć i pozostało tylko zmęczenie. No i teraz ten brzdąc. Brzydki, pomarszczony jak staruszek, a przecież dopiero co zaczął być.

Z początku wydaje się, że energia potrzebna na wzrost, naukę chodzenia i mówienia wystarczy, by wygrać z czasem. By przekuć go na swoją modłę i przekonać do tworzenia, a nie niszczenia. Po pierwszej przychylności przychodzi jednak pora na spłacenie długu zaciągniętego przez bezczelną młodość.

Napadają choroby i brak sił. Zadyszka już na pierwszym stopniu. Ból, który zawsze się czaił, zaczyna pukać w kości i mięśnie. Na nowo trzeba uczyć się życia. Tym razem nie z roześmianą pucułowatością dzieciaka, ale zaciśniętymi zębami sztucznej szczęki.



Teraźniejszość staje się zbyt przykra, by ją zauważać. Przyszłość kurczy się, bo nie ma już za bardzo co planować. Na dobrą sprawę zaczyna się liczyć tylko to, co przeżyte. Rośnie rola wspomnień, już przez sam fakt, że przez tyle lat trochę się ich nazbierało. A że są ciekawsze od teraz i łagodzą strach przed tym, co potem, pchają się w głowie i zajmują cały czas, jaki pozostał. W ten sposób coraz mniej czasu pozostaje na oczekiwanie. I tak jest dobrze. Dzięki temu szybciej będzie zawsze.

## WYSYPISKO I NIE TYLKO

Wysypisko było na samym końcu. Właściwie bliżej miasta niż wszystko inne stąd. To przede wszystkim tutaj wychowywał się Krzysztof i jego kumple. Owszem, biegali po polach, kręcili się po tartaku, kąpali w jeziorze i takie tam, ale dziwnie ciągnęło ich do śmieci. Prawdopodobnie w głowach mieszała im różnorodność wysypiska. Kolorowy syf był tu zwożony nie tylko z okolicy, ale i z miasta, co podnosiło jego wartość. Na wysypisku można było znaleźć wszystko. Od koloru po brak koloru, od zapachu po smród, od kształtu po bezformie. Tysiące zniszczeń, z których ciężko było złożyć sens.

Tutaj też leżał diabelski kamień, będący ostateczną granicą tego świata. Kamień wielki jak dwie krowy. Od domu Józefa Myśliwskiego szło się do niego w stronę miasta dobrą godzinę. Dla Krzysztofa i kumpli, którzy wszędzie biegali, diabelski kamień był bliżej. Mówiono o nim, że musi być, bo jest potrzebny do utrzymania równowagi na świecie. Bo nigdy nie może być tak, żeby było tylko dobro. Wtedy człowiek nie potrafiłby zrozumieć, że jest mu dobrze. Nigdy też nie może być tak, żeby było tylko zło. Wtedy człowiek oszalałby i nie potrafiłby zrozumieć, że jest mu źle. A diabelski kamień jest tym ziarnkiem piasku, którego nie może zabraknąć, bo gdyby go zabrakło, na świecie działałoby się gorzej. Choć niektórzy cicho mruczą, że kto wie, może gdyby diabelskiego kamienia zabrakło, na świecie byłoby lepiej?

Nie do ruszenia, wrośnięty w miejsce, podobno był tu od zawsze. Kiedyś Marta przekonywała Krzysztofa, by nie wierzył tym z miasta, a szczególnie nauczycielom, bo oni uczą, że ziemia jest okrągła, a jak ziemia może być okrągła?! Przecież gdyby była okrągła, to diabelski kamień musiałby spaść w dół i wszyscy razem z nim, a on nic. On jak stał, tak stoi. Nic go nie poruszy. Dlatego ziemia nie może być okrągła.

Krzysztof i kumple mieli gdzieś filozofię Marty, kto jej tam zresztą słuchał. Nie musieli obawiać się nadmiernego przeładowania wiedzą. Po pierwsze, nie angażowali się w naukę. Po drugie, nie uczyli się w miejskiej szkole, tylko w tej przy pegeerach, gdzie nauczycielka od geografii nie przychodziła, bo ciągle była na zwolnieniu lekarskim.

Krzysztofa nie interesowało pomaganie ojcu w tartaku. Od gówniarza chciał być najważniejszy. Udaowało mu się – w końcu zużywał na to całą energię. Nie warto przytaczać jego słów, bo nie kryły w sobie żadnej filozofii. Ale kumple słuchali ich, agresywni i wystarczająco bezczelni, by niejednemu zaleźć za skórę. Problem w tym, że tworzyli zaledwie szóstkę. Ta połowiczność denerwowała Krzysztofa. Zawsze marzyła mu się dwunastka. Na te okolice i warunki byłaby to armia. Niestety z braku laku musiał ograniczyć się do sześciu wiernych.

Opanowali wysypisko. Żaden szczur nie miał tutaj wstępu bez ich zgody. Jednak dość szybko znudziło ich to, a zaczęły interesować dziewczyny. Chyba właśnie wtedy Józef Myśliwski kupił swojemu synowi dwudziestoletniego mercedesa i odtąd Krzysztof i jego kumple już nie musieli biegać, ale mogli jeździć. Dużo nie pojeździli, bo Krzysztof po kilku dniach wjechał w kapliczkę Błękitnej Madonny i rozwalił samochód. Głowa Madonny potoczyła się kilka metrów dalej i nie można jej było znaleźć. Chłopakom nic się nie stało i nadal rośli, bo tacy jak oni rosną szybko jak chwasty na gównie. W końcu zdominowali dyskotekę w pegeerach. W każdą sobotę zjeżdżała się na nią cała okolica. Krzysztof i jego grupa na dyskotekę chodzili. Nie było już czym przyjechać.

W szkolnej świetlicy z przetartym linoleum przykrywającym podłogę, przy zgaszonym świetle tańczyły kilkuosobowe grupki, skupione w podrygujących kółkach. Chłopaki niemrawo machali rękami, a właściwie nadgarstkami, bo łokcie mieli przyciśnięte do sztywno wyprostowanych korpusów. Nieporadnie dreptali w miejscu ze zgiętymi w kolanach nogami. Dziewczyny poruszały się z większą swobodą, którą podkreślały gwałtownym zarzucaniem włosami to w jedną, to w drugą stronę. Nie było żadnych migających świateł. Jedyne chłodna biel jarzeniówek wpadała do świetlicy przez szyby szkolnego kantorka, w którym można było kupić oranżadę i paczki chipsów. Alkoholu nie sprzedawano, ale i tak większość ledwo trzymała się na nogach.

Krzysztof właśnie wyszedł na zewnątrz i stanął pod murem. Sikał z wyraźną ulgą. Ale już po chwili zaczął go drażnić smród własnych szczyn. Od spotkania z dziadem, gdy musiał wracać zaszary do domu, wszystko go drażniło. Zapiął rozporek i już wiedział, co ma robić. Musiał tylko zebrać chłopaków.

Udało mu się namówić trzech. Tylko tyłu było w stanie jeszcze się poruszać. Poszli do Tośka, bo pegeery były niedaleko szkoły. Krzysztof ledwo zapukał w drzwi i natychmiast ukazała się głowa z pożyczką misternie wymodelowaną i przyklepaną na czubku. Z głębi mieszkania dolatywał głos, zniekształcony przez głośnik marnego radia. To chyba ksiądz coś mówił do wiernych.

Krzysztof kazał Tośkowi ubierać się i zawieźć go z kumplami nad jezioro. Wiedział, że nie odważy się odmówić synowi szefa, zejdzie do jedyne go w całych pegeerach garażu, otworzy trzy kłódki i Krzysztof z kumplami wsiądą do starego, ale wciąż jarego dżipa.

– Daj pojeździć – burknął Krzysztof, ale tak, żeby było od niego jak najmniej czuć wódkę. Gdy tak prosił, czuł się jednak trochę jak szczeniak.

– Nic z tego, najebany jesteś w trzy dupy – odburknął Tosiek. Gdy to powiedział, poczuł się trochę jak ojciec.

Jechali szybko. Tosiek lubił jeździć szybko. Zwolnił tylko na zakręcie i światła wyłoniły z ciemności kapliczkę z Błękitną Madonną, której cały czas brakowało głowy. Krzysztof potarł skroń wierzchem dłoni.

Dżip podskakiwał na wybojach, ale jakie to było podskakiwanie! Jakby radość rozpieła silnik i karoserię. Co tam, że głośno, jakby na silniku siedzieli, ale szybko i z jajcem! Chłopaki byli oszołomieni. Krzysztof trochę się pocił, bo wiedział, po co jadą, a inni nie. Tosiek uśmiechał się pod nosem. Mała figurka Matki Boskiej chwiała się na krótkim łańcuszku, zwisającym z lusterka. Na tle przednich świateł samochodu, rozjaśniających drogę, wyglądała jak podłużna bryłka węgla. Bez twarzy i koloru.

Reflektory samochodu wycinały z czerni kawałek innego świata. Świat ten uciekał gdzieś do tyłu i znikał na zawsze. W ciemności, w którą wpadał, musiał turlać się jeszcze przez jakiś czas i rozbijać o kamienie, aż ścierało go na miał, zapychający głęboki kałdun pustki.

Wzięli zakręt z poślizgiem i Krzysztof przypomniał sobie opowieść ojca o jego pierwszym samochodzie. Opowieść o dużym polonezie. Jak to jeszcze przed narodzinami Krzysztofa, gdy Józef był w mieście narzeczoną Marii, kupił od znajomego znajomego poloneza za uciulane pieniądze. Kupił starego rżęcha, ale myślał, że jeszcze trochę nim pojeździ. Dopiero gdy go ubezpieczył, zauważył, że podwozie zżerała rdza.

Znajomy znajomego, jak to bywa po znajomości, wcisnął Józefowi samochód, który nadawał się tylko na złom. Stracone pieniądze. A jednak był sposób, by odzyskać forszę. Oczywiście nie od znajomego znajomego, ale z ubezpieczenia. Należało tylko tak rozbić poloneza, by rzeczoznawca z ubezpieczenia nie poznał, że podwozie przed rozbiciem i tak było do niczego. Tylko że to „tylko” to było „aż”.

Józef założył kask ojca – wielki, okrągły i czarny – zapiął pasy i ruszył w drogę. Przed każdym zakrętem stawała mu przed oczami Maria i wyobrażenie mnóstwa dzieci, które zamierzał z nią spłodzić. Wtedy jeszcze kochał Marię i byłoby mu trochę szkoda ją stracić.

Ciężko było zdecydować się na ten jeden ruch kierownicą, który wyrzuciłby go z drogi i wtłoczył w najbliższe drzewo. A jeśli przesadzi, rozbije się i spłonie razem z samochodem? Wizja siebie piekącego się jak kurczak na rożnie nie pomagała w decyzji. Już miał szarpnąć kierownicą, ale nie... Opuścił. Jechał dalej.

Lubił tę trasę. Była bardzo kręta. Musiał co chwilę redukować biegi, wciskać pedał gazu i hamulca. Wpadł w trans. Bezwiednie pochłaniał kilometry. Przez chwilę nawet zapomniał, po co wyjechał. Myślał o Marii, o jej ciele i o tym, jak mu się podoba. Wiele kobiet mu się podobało, ale Maria najbardziej, na tyle, że miała zostać jego żoną. Cicha, uległa, zawsze będzie kochać. I bał się trochę, że jeśli nie wyjdzie mu ta stłuczka jak należy, to może przyszłej żony więcej nie zobaczyć. Tego mu było szkoda. Ale bez pieniędzy nie będzie nic. Tym samochodem miał przecież dorabiać na taksówce. Załatwił już sobie uprawnienia. Musi to zrobić! Do kurwy nędzy, musi! Zwolnił...

To takie proste. Decyzja i później wszystko już idzie własnym rozpędem. Józef przeorał krótki pas trawy dzielący go od drzewa i uderzył w pień od strony pasażera. W sumie nie była to duża prędkość, raczej rozsądna i wymierzona, a jednak pasy bezpieczeństwa tak nim szarpnęły, że aż stracił oddech. Dobrze, że miał kask na głowie, bo rąbnął w zagłówek. Zaboląła szyja. Na chwilę chyba stracił przytomność.

Stało się. Siedział w rozbitym samochodzie. Nawet się nie skaleczył, a samochód tkwił w drzewie. To fakt. Przyjechała milicja. Stwierdzili stłuczkę. Józef zadzwonił po znajomka z pomocy drogowej. Odholowali go do innego znajomego, który miał warsztat samochodowy. To był dobry kumpel ojca. Sprawdzony. Józef mówił na niego wujo. To właśnie wujo doradził mu, żeby wykręcić ten numer z samochodem.

– Nie udało ci się. Podwozie prawie całe. Do uratowania. Nie dadzą ci z ubezpieczenia – powiedział wujo, gdy obejrzał poloneza na pomoście.

– To co zrobić?

– Co zrobić, co zrobić... – wujo sięgnął po lewarek i podał Józefowi.

– Trzeba dobić tył.

Wbili drewniany pokład pomiędzy tylną oś a wał napędowy i wykorzystali lewarek jako dźwignię. Kręcili, kręcili, aż coś zatrzeszczało i oś jęknęła jak żywa. Trochę się napocili, ale to wystarczyło. Nadgryzione rdzą podwozie posypało się w złom. Może przychodzić rzeczoznawca.

– A jak z ojcem? – spytał wujo na odchodnym.

– Trzeba dobić – mruknął pod nosem Józef, ale tak cicho, że wujo nie zrozumiał i tylko wzruszył ramionami, bo Józef już wychodził z warsztatu.

W mieszkaniu na Józefa czekał ojciec, który bezmyślnie patrzył w telewizor. Już wtedy był chory. Lekarze mówili, że jeszcze trochę pożyje, ale nie za długo. Widok ojca bardzo przygnębił Józefa. Jeszcze nigdy nie poczuł tak silnie bezcelowości życia. Mieszkanie, w którym spędził dzieciństwo, teraz bez matki i z ojcem, który robił pod siebie, było nie do wytrzymania.

Musiał coś postanowić. Wiedział, że po śmierci ojca nie będzie mógł dłużej tutaj zostać. Dlatego zdecydował, że pieniądze za rozbity samochód zachowa, a potem, gdy ojciec umrze, ożeni się z Marią, kupi żuka i wyniesie z miasta. Postanowił, że otworzy własny interes na własnej ziemi. Odkupi tanio dom, a z czasem na jego miejscu wybuduje nowy, tak drogi, że nigdy go nie spłaci.

\*

Krzysztof ocknął się z zamyślenia. Tosiek dowiózł ich nad jezioro. Na drugim brzegu słychać było obcych. Jak zwykle przekrzykiwali po pijanemu rytmiczną łupanę, która uwznioślała ich dusze. Jakies pluski i piski kobiet. Migotliwe omamy świateł docierały aż tutaj.

Nikt poza Krzysztofem i dziadem nie wiedział o ich niedawnym spotkaniu. Chłopaki, gdy tylko odjechał Tosiek, zaczęli się rozbierać.



- Co wy? – powiedział Krzysztof.
- No co? Kąpańsko się szykuje, no nie?!
- Srańsko nie kąpańsko! Zakładać badeje! – rozkazał Krzysztof.

Szli przez las. A w nocy gałęzie drzew jakby obudziły się do życia. Drapały im twarze i co chwilę któryś dostawał twardą belką w czoło. A że byli pijani, to oberwali niezłe baty. Krzysztof rozkazał każdemu znaleźć dla siebie jakiś grubszy kawałek konaru. Coś w rodzaju kija baseballowego. W pewnym momencie kazał im zachowywać się ciszej. Zobaczyli, że są blisko szałas dziada. Chyba zaczęło coś do nich docierać i mile połechtalo ich gdzieś w środku.

\*

– No, stary! Skończyło się babci sranie! – Krzysztof wskoczył do szałas skleconego z dykty i gałęzi. Dziad był. Siedział za stolikiem przy świecy i jakby czekał na nich. Miał przed sobą talerz, na którym leżały pokruszone resztki chleba. Trzymał w ręce metalowy kubek, ale nie wyglądał na zaskoczonego. Spokojnie patrzył na szczeniaków, co przyszli rozwalić mu głowę.

Poczuli się jakoś nieswojo, ale nie Krzysztof. Ten już nic nie widział. Tylko oczy dziada, których zamglone źrenice mąciły mu w głowie.

– Co ty mi tu, dziadu jeden! – ocknął się w porę i zamachnął grubą gałęzią. Uderzenie było silne i brzmiało krótko. Jakby coś spadło. A potem spadło jeszcze coś. Ciało dziada. Zanim zgasła świeczka, zobaczyli, że leży przed nimi po prostu stary człowiek. Wtedy zrobiło się naprawdę ciemno. Nie wiedzieli, co robić.

– Spierdalamy! – krzyknął Krzysztof i strach uderzył ich w twarze. Mocno i precyzyjnie. Słoczyli się w drzwiach. Byli oszołomieni uderzeniem i za bardzo nie widzieli, gdzie i jak. Na zewnątrz wcale nie było jaśniej. Teraz każdy myślał o sobie. Wódka gdzieś wywietrzała i bali się już bardzo. Po drodze drzewa sprawiły im niezły łomot. Porozbijały twarze i pewność siebie.

\*

Na drugi dzień, pod wieczór, przyszedł Staszek. Znalazł dziada. Głęboką ranę w głowie obsiadły muchy. Te kolorowe Staszek dobrze znał. Wystarczyło lekko pstryknąć w taką muchę, by jak porcelanowa figurka rozleciała się na kawałki. Jakby za życia wysuszona na śmierć.

Staszek starał się nie denerwować. Miał to opanowane doskonale. Musiał się tego nauczyć, by jakoś żyć. Dreszcze nie nadchodziły i nie tracił przytomności. Wszystko wykonywał bardzo powoli. Miał wrażenie, że stoi z boku i przygląda się samemu sobie. I widzi, jak podnosi głowę Błękitnej Madonny, którą przyniósł dziadowi, i chowa do swojej skórzanej torby, a później bierze jego Pismo i zeszyt z poradami na choroby.

Wiedział, że zeszyt i Pismo spali. Wiedział, że głowę Błękitnej Madonny zamocuje na okaleczonym tułowiu i sam się zastanawiał, co go podkusiło, że nie zrobił tego od razu, tylko przyniósł ją do dziada. Może wierzył, że ta głowa coś znaczy i dziad będzie umiał mu to wytłumaczyć. A dziad nic. Kazał rzucić głowę o tam, w tamten kąt, i odtąd tak leżała bez sensu, z kamiennymi oczami w słup.

Przez te kilka miesięcy Staszek zobaczył, że tak naprawdę dziad niewiele potrafił poza żebraniem. Że jego porady były wyciągnięte z jakiegoś starego kufra po babce. Że jedyną jego niezwykłością była postępująca zaćma, która przeszkadzała mu w patrzeniu. I tylko dlatego tak się wszystkim przyglądał, bo po prostu chciał zobaczyć, z kim rozmawia. Staszekowi to nie przeszkadzało, bo dzięki temu odkryciu mógł zaprzyjaźnić się z dziadem.

Ale teraz dziada nie było. Tylko jego ciało, sztywne jak drewniana kłoda. Niezrozumiałe, bo ciężko zrozumieć coś, co nie oddycha. Choćby dlatego, że nie oddycha. Dziwna rzecz, martwy sprzed kilku godzin jest dla siebie tak samo martwy jak ten, który nie żyje od tysiąca lat.

Staszekowi wiele się wyjaśniło. Musi stąd iść. Tyle razy mówił dziadowi, że brakuje mu spokoju. Dziad odpowiadał mu: Do klasztoru! Ale ksiądz wytykał Staszekowi brak wykształcenia i że w klasztorze z tym, co ma w głowie, to najwyżej w kuchni mógłby robić, albo w ogrodzie... Ale czego więcej? Przecież to mu wystarczy. Raz na zawsze i za każdym razem od początku. To mu wystarczy! W ogrodzie, albo w kuchni, albo w pralni... Nic więcej. Nic więcej! Już nic więcej.

Nie wiedział, co go podkusiło, ale jeszcze dla pewności postanowił poradzić się Alka. Właściwie nie liczył na jakąś sensowną odpowiedź, ale pamiętał, ile mu Alek opowiadał o świecie. A to znaczyło, że swoje o życiu wiedział.

Znalazł go jak zwykle w „Zagrodzie”. Za barem nie było już pani Marioli. Zastępowała ją taka jedna z pegeerów. Gdyby nie to, że zastępowała panią Mariolę, nawet nie warto by o niej wspominać. Alek ostatnio upijał się na smutno. Stawiał przed sobą dziesięć otwartych butelek portera i nie przestawał pić, aż wszystkich nie skończył. Właśnie ścisnął w ręce siódmą butelkę. Trzy pozostałe, wysmukłe jak panny, cierpliwie czekały. Gdy Staszek powiedział mu o swoich planach, Alek zamyślił się i trochę to trwało. A potem zabelkotał:

– Jedni spierdalają do klasztoru, a drudzy nie! – i grzmotnął głową o blat stołu.

Staszek wyszedł z knajpy, a tego dnia była wielka mgła. Gdyby chciał iść, musiałby najpierw zanurzyć się w nią, ufając przy tym, że nic go w niej nie zadusi. Decyzja odejścia od ludzi nie byłaby taka ciężka, gdyby miał dowód na istnienie Boga. Bo jeśli Bóg jest, to on w klasztorze, sam ze sobą, nie zostanie sam, ale z Opatrznością, która będzie z nim. Ale jeśli Boga nie ma, to opuszczając ludzi, zostanie bez oparcia, a to może być straszne. Sam ze sobą, bez Boga w sobie... i bez ludzi...

Ale jeśli Boga nie ma, to co z niego za człowiek? Dlatego musi być, bo inaczej nic z tego, co widział w wizjach, nie miałoby żadnego znaczenia. A on wiedział, że znaczenie ma.

I wiedział, że ludzie w odkryciu tego znaczenia tylko mu przeszkadzają. Dlatego Bóg jest. Musi być.

Postanowił pójść do miasta, choć tak się tego bał. Przechodząc przez ulice, próbował zachować spokój, nie poddawać się piskowi hamulców, groźnemu pomrukowi tłumu. Musiał jak najszybciej przemknąć do bramy, która, gdy uderzył w nią kilka razy mosiężną kołatką, otworzyła się i nikt z za niej nie wyjrzał. Staszek poczuł ulgę. Jak najmniej ludzi. Jak najmniej...

## SZANTAŻ I NIE TYLKO

Jakoś po kilku dniach nieobecności w tartaku pojawił się Marcin Panek. Nie pojawił się jak gdyby nigdy nic, bo nie dało się ukryć, że wszelkie jego próby nawiązania kontaktów z firmami były mistyfikacją. W pierwszym odruchu Myśliwski chciał wypróbować na Panku swoje toporne jak pień pięści, jednak powstrzymał się i charknął przez okno gabinetu. Panek swobodnie rozsiadł się na fotelu naprzeciwko Myśliwskiego i uśmiechnął się:

– I jak, panie Myśliwski, jak zdrowko, i pańskiej żonie jak leci, bo mnie nawet szkoda, że mnie pan tak potraktował i wyrzucił z pracy jak tego przysłowiowego psa na zbity pysk.

Myśliwski wycedził przez zęby, że Panek sam nie przyszedł do roboty.

– Może i tak było – znowu uśmiechnął się Panek. – Ale co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr – dodał jakoś bez sensu. Myśliwski uchwycił się tego.

– Wręcz przeciwnie, panie Panek, jest, jest! I to jak najbardziej jest! Pan mnie okradł, a a złodziejom nie wybaczam... – Panek udawał zaskoczenie, a Józef zdążył odsapnąć trochę, tym bardziej że Panek miał ochotę mówić.

– Panie Myśliwski, mam ponad sto kserokopii papierów, w których wyraźnie widać, ile pan komu jest winien, a nie są to małe sumy. I wie pan, że zniszczyłbym pana... Ot, tak! – pstryknął Panek.

Myśliwski aż uśmiechnął się pod nosem.

– Mógłbym podać pana do sądu za kradzież i szantaż, nasłać na pana kumpli mojego syna albo innych takiego rodzaju, ale podaruję sobie, po co niszczyć taką wesz jak pan, tym bardziej że o moich długach to właściwie wszyscy wiedzą. Najbardziej jednak gryzie mnie to, że pana, już teraz jestem tego pewien, zamierzona ślamazarność w interesach, całkowicie mnie pogrążyła. Kto nie idzie do przodu, ten się cofa. Jeśli robił to pan na zlecenie kogoś, to udało się panu mnie wykończyć, jeśli nie, to jest pan największą pierdołą, która przekonała mnie do swoich nieistniejących zdolności.

– Pan mnie chyba nie docenia, panie Myśliwski, a przecenia siebie – spokojnie powiedział Panek. I w tym momencie Myśliwski spojrzął na Panka tak strasznie, że Panek poczuł się nieswojo. Może coś mi zrobi, po takim wieśniaku wszystkiego się można spodziewać, pewnie myślał, bo przez chwilę wyglądał na takiego, który tak myśli. Twarz mu zszarzała, a w lewym kąciку ust zamigotała zapowiedź nerwowego tiku, który za jakieś dziesięć lat rozwinie się w chroniczne drżenie. Ale tym razem głębszy oddech pomógł.

– Bo pan, panie Józefie, jeszcze wszystkiego nie wie – machnął frywolnie ręką Panek. – Ja o panu wiem wszystko, a pan na przykład nie wie, że jestem chrześniakiem Pasieki, tak, tak, tego Pasieki, może to pana trochę zdziwiło, ale dzisiaj takie czasy, że każdy dba o swój interes, i Pasieka dba, i ja dbam, a pan nie, bo pan ufa ludziom, uff, uff, jak ten osioł.

I Myśliwski wiedział już, że przegrał, choć nie podejmował żadnej gry. Okazało się jednak, że brał udział w rozgrywce, i to niejako pionek, który o niczym nie przesądza, ale jako główna figura, od zbicia której zależało zwycięstwo. Czuł, że teraz leży na szachownicy z poobijanym bokiem od upadku, jak ten drewniany pajac z koroną na głowie, pchnięty w plecy jakimś jopkiem, który z pomocą drugiego jopka zablokował mu wszystkie drogi ucieczki.

– A ja szczerze myślałem, że panu pomagam – jeszcze nie mógł się opanować i powiedział do Panka tak na zwłokę, cokolwiek. Właściwie głupotę.

– No i pomógł mi pan, jak najbardziej, odzyskałem wiarę w siebie, że jednak coś potrafię i przysłużę się rodzinie, ojciec chrzestny wynagrodzi. Może dostanę po panu ten piękny dom, a może tartak, też niczego sobie? – filuternie puścił oczko do Myśliwskiego, a Józef już widział, jak doskakuje do niego i kopie w ten wypicowany łeb, tak dla treningu, i łeb Panka ze śladem podeszwy na twarzy leci prosto do kosza, w którym tkwią zgniecione puszki po piwie, przemieszane ze zmiętymi w nieforemne kule kserokopiami faktur. Słodki głosik Panka wyrwał go z zamyślenia.

– Niech pan mi wierzy. Chciałem naprawdę dobrze, a wyszło mi jakoś źle – skrzywił się i wyglądało to na jawną drwinę. – No a teraz nie ma odwrotu. Jest mi pan winny duuużo pieniędzy. W końcu tyle dla pana zrobiłem. Z tych kilku zamówień pan mi jeszcze nic nie wypłacił – i bezczelnie zachichotał.

Myśliwski był tak zaskoczony słowami Panka, że zastanawiał się przez chwilę, czy czasem się nie przesłyszał. W krótkim przeblysku zobaczył sytuację z młodości, gdy jeszcze pracował z ojcem przy zakładaniu anten telewizyjnych. Czasami zdarzali się bardzo upierdliwi klienci, a że to źle, a tamto niedobrze, antena pod złym kątem, a wcześniej chyba było lepiej i takie tam... Raz taki jeden nawet zaczął wyzywać, a że akurat tego dnia młody Józef był na kacu, sklął gada i przerwał w połowie roboty. Oczywiście facet poszedł na skargę do kierownika placówki, którym był ojciec Józefa. Facet powtórzył mu, że ten oto pracownik wyzwał go od chujów, na co ojciec powoli wstał i bardzo spokojnie wycedził do faceta: – Spierdalaj pan stąd! – Co, jak? – wyraźnie zaskoczony facet aż cofnął się do wyjścia. – No, spierdalaj pan stąd! – powtórzył równie spokojnie ojciec. – Ja to powiem dyrektorowi, dyrektorowi wszystko powiem, jak tu jest, jak się traktuje! – krzyczał facet jeszcze po wyjściu. I oczywiście po jakimś czasie ojciec został zaproszony na miłą pogawędkę do dyrektora, jak to określiła sekretarka, pani Gienia. Dyrektor prosto z mostu spytał ojca, czy to prawda, że razem z synem tak potraktowali klienta, i tu dyrektor powtórzył to, co jemu z kolei wcześniej powtórzył klient. Ojciec był oburzony. – Panie dyrektorze, czy pan naprawdę uważa, że ja mógłbym tak powiedzieć do naszego klienta? – Ależ oczywiście, że nie, panie Myśliwski – odetchnął z ulgą dyrektor. – Prawdę mówiąc, panie Myśliwski, tak między nami, ten klient to chyba jest trochę ten tego – ściszył głos dyrektor, jednocześnie wskazując znacząco palcem na własną skroń, co wyraźnie sugerowało, że facet był trochę ten tego. – Niech pan sobie wyobrazi, panie Myśliwski, facet wbiega do mnie bez zapowiedzi, wydziera się jak oszalały i aż piana zaczęła mu się zbierać w kąciku ust, pani Genia musiała mu podać jakieś ziółka uspokajające, zabrał mi godzinę czasu! Od razu pomyślałem sobie, że on jest trochę ten tego – i powtórzył znaczący ruch palcem przy skroni. – Panie dyrektorze, nam z synem od razu wydawało się, że on jest trochę ten tego – i ojciec Józefa powtórzył



gest dyrektora, ostatecznie utwierdzając go w jego psychologicznej przenikliwości.

Właśnie to przypomniało się Myśliwskiemu, gdy tak patrzył na Panka, który poprawił się na gabinetowym fotelu, jakby coś kłuło go w plecy.

– Pan grozi mi papierami, które uważa pan za tajne i dla mnie bardzo cenne – powiedział spokojnie Myśliwski. – Wsadź se pan je w dupę. Ja i tak jestem już pogrzebany. Mnie się już nie chce. Za dużo straciłem siły. A teraz spierdalaj pan stąd, bo to jeszcze moje!

Marcin Panek wstał. Nie wyciągnął ręki w stronę Józefa, zresztą Józef nie uściskałby jej. Najchętniej splunąłby za siebie, gdyby wierzył w zło. A gdy Panka już nie było, Józef zaczął zastanawiać się, czy w ogóle był. Sam nie potrafił tego stwierdzić na pewno, a nie było nikogo, kto mógłby mu w tym pomóc.

## MATKA I NIE TYLKO

Może to głupie, ale nie dla matki. Maria jeździła z petycją po okolicy i pegeerach, aby podpisywali, że Krzysztof jest niewinny, że zawsze był grzeczny i nigdy nikogo nie uderzył. Nikt nie chciał podpisywać, bo to kłamstwo. Podpisywał jednak każdy. W końcu Maria była żoną Myśliwskiego, a Krzysztof jego synem. Myśliwski zawsze jednak coś mógł, dziad nie żył – nie mógł już nic.

Maria jeździła prosić o podpisy nawet do znajomych w mieście. Też podpisywali. Nie to, że jej wierzyli, ale wzbudzała litość. Wiemy, wiemy, rozumiemy, w końcu to twój syn i takie tam...

Myśliwski działał inaczej. Wiedział, kogo przekupywać, a że jeszcze miał ostatnie grosze, to jego działania były skuteczne. Dzięki tym pieniądzom Krzysztofa nie posadzili. Chłopaków z jego drużyny wzięto na świadków. Myśliwski też im trochę posmarował. Zeznawali, że Krzysztof uderzył w obronie własnej. Wiadomo, że dziad był psychiczny i gdy weszli do jego szałas, rzucił się na nich z nożem. Gdyby nie Krzysztof, doszłoby do tragedii. A tak, to już wysoki sąd sam wie, jak było...

Zeznania szyte grubymi nićmi, ale przeszło. Krzysztof odsiedział te kilka miesięcy, przez które trwała rozprawa. Po wyroku był czysty jak łąka. Gdyby Myśliwski tylko chciał, mógłby jeszcze złożyć pozew o odszkodowanie za straty moralne, jakie poniósł jego syn w wyniku niezaskuszonych oskarżeń. Ale miał już wszystkiego dosyć i poprzestał na tym, że Krzysztofa wypuścili.

Może to głupie, ale nie dla matki. Maria postanowiła zanieść dla Krzysztofa na następne widzenie słoik dżemu z truskawek.

Zawsze go lubił i wiedziała, że się ucieszy. Dżemy przechowywała w piwnicy.

Schodziło się betonowymi schodami bez oparcia. Nie było też światła. Maria potknęła się i ciężko gruchnęła plecami o kanciaste schody. Ból czuła tylko przez chwilę. Potem bezwładnie zsunęła się na sam dół.

Nie pamiętała, jak długo leżała na dole. Dobrze, że była ubrana w ciepły szlafrok. Inaczej zimna betonowa podłoga wychłodziłaby jej ciało na śmierć. Maria patrzyła w górę. Mogła zobaczyć tylko ciemny sufit, właściwie czerń tak gęstą, że trudno było sobie wyobrazić ponad nią niebo. Nie potrafiła poruszyć ani nogami, ani rękoma. Jeszcze przez jakiś czas wołała do góry, żeby ktoś pomógł, ale później nie miała już siły. Mdląła i zapadała w krótkie drzemki. Majaki wirowały jej w głowie. Wreszcie z tego całego mętliku wyrwało się do niej jedno wspomnienie. Przygarnęła je do siebie i bardzo uważała, by nie rozmyło się w chorobliwych zjawach.

Przypomniały jej się noce z Józefem i małym Krzysiem, kiedy to jeszcze spali razem w jednym łóżku. Krzysiu, uczeplony jej piersi, co chwilę rozkopywał koldrę. A Józef przez sen skwapliwie ich przykrywał. I nigdy tego nie pamiętał, choć za każdym razem, gdy koldra zsuwała się z niej i małego Krzysia, Józef przebudzał się i ich przykrywał. Ona też nigdy nie pamiętała, jak Krzysio domagał się cycka, a jednak przewracała się na lewy bok i zapychała go tym razem lewą piersią, i właśnie dlatego lewą, bo z pewnością ostatnio ssał z prawej... I ona nie wiedziała o tym, tylko czuła, że tak trzeba. A mały Krzyś odruchowo otwierał szeroko usta i nie wiedział dlaczego, ale czuł, że tak trzeba. Nie pamiętała żadnej z tych nocy. A teraz sobie przypominała. Bardzo dokładnie i bardzo wyraźnie. Cały czas myślała o tej przypomnianej nocy. Czuła, że daje jej to siłę, by jakoś przetrzymać te kilkanaście godzin w piwnicy.

Wreszcie ją znaleźli. Choć wcale nie szukali. Tylko że Józef wrócił głodny, a nie było kolacji. No i z tych nerwów zaczął szukać. Później zawołał Tośka, aby pomógł. No i znaleźli. Któryś z nich usłyszał jęki z piwnicy. Było już z nią bardzo źle. Józefa coś uszczypnęło w serce.

\*

Po wyjściu z aresztu Krzysztof pogardliwie charknął w stronę budki strażnika. Znowu był twardziel. Strach zostawił za sobą. Znowu był odważny. Przygotowany na propagowanie swojej związanej nauki. Nie, tacy jak on się nie zmieniają. No, może na chwilę, ale tylko na chwilę. Tylko wtedy, gdy trzeba. A gdy już nie trzeba, znowu są sobą.

Czekał na niego ojciec. Siedział za kierownicą swojego, jeszcze swojego, mercedesa i nerwowo palił papierosa. Nigdy nie palił papierosów. Krzysztof, gdy go zobaczył, poczuł się taki malutki, ale splunął i odzyskał pewność siebie.

Przez całą drogę nie rozmawiali ze sobą. Gdy przejeżdżali koło kapliczki z Błękitną Madonną, Józef skinął w stronę figurki i Krzysztof zobaczył, że Madonna znowu ma głowę. Smutnie patrzyła na drogę, a jej oczy były jak nie z kamienia. Dopiero przy samym wjeździe do tartaku Józef powiedział:

– Wiesz, że z matką jest źle?

– Tak mówisz? – prychnął Krzysztof. – A samochód kiedy ci zabiorą?

Józef nie odpowiedział na zaczepkę.

\*

Maria siedziała na wózku i smutnie patrzyła na wchodzących mężczyzn. Okazało się, że przy upadku strzelił jej jakiś krąg w kręgosłupie. Straciła czucie od pasa w dół. Wiadomo było, że spędzi resztę życia na wózku. Józefowi wydawało się, że coś przeoczył. Nie wiedział tylko co. Do opieki nad Marią załatwił najlepszą pielęgniarkę z miasta. Opłacał jej codziennie dojazd taksówką. Pielęgniarka była wcale niczego sobie i Józef miał nawet na nią ochotę, ale jakoś mu przeszło samo z siebie. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

Krzysztof pierwszy raz zobaczył matkę po wypadku. Zrobiło mu się gorąco i cały się spocił. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, ale bliski był omdlenia. To chyba zmęczenie, próbował sobie wytłumaczyć, ale myśl ta panicznie załopotala i czuł, jak więdnąć fałszem. Maria wyciągnęła rękę w jego stronę. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jej posłuchał. Tym razem musiał ją przytulić. A gdy to zrobił, ona okazała się w jego ramionach taka drobna i taka mała, że mógłby ją zgnieść, gdyby silniej ścisnął. I zrozumiał, jaka jest słaba, i zrobiło mu się niedobrze, a gdy poczuł, że matka płacze, zaczął płakać razem z nią.

Kłęcząc, poczuł ciszę, która zawsze go obejmowała, gdy przytulał się do matki. I przypomniał sobie, jak delikatnie głaskała go po głowie przed snem. I jej głos nawołujący z kuchni, i płacz, gdzieś cicho w kącie. Ten płacz zawsze go denerwował. Bo jak to? Dlaczego? Niby przez niego? Przez ojca? Że są? Poczuł miłe drapanie w głowę. To ojciec dwadzieścia lat wcześniej dotykał go nieogolonym podbródkiem. Ojciec był mistrzem świata. Wszystko potrafił. I jak nikt inny bawił się z nim w zjadanie smacznego synka. Wtedy gryzł go w brzuch i w szyję, i w uszy, i w stopy, ale tak ostrożnie, że tylko przyjemnie łaskotało.

Józef patrzył na kłęczącego syna jak zaczarowany, a przecież nie chciał patrzeć. Zobaczył w nim małego Krzysia, który dopiero co uczył się chodzić. Pielucha między nogami wcale mu w tym nie pomagała, a duża, nieproporcjonalna głowa ciągnęła na boki. A śmiechu przy tym było! I Józefowi zdawało się, że wtedy świeciło ciągle słońce, i syn i żona starczali mu do szczęścia. I chyba często się śmiał, choć przecież ciężko było i nic poza sobą nie mieli. Niebezpiecznie mu się to wszystko przypominało. Niebezpiecznie. Przez tyle lat nie pamiętał, a teraz zobaczył w tym kłęczącym mężczyźnie malutkiego Krzysia, który z całkowitym zaangażowaniem ciągnie z piersi Marii mleko, co powstało z jej krwi i ciała. Zobaczył, jak Krzysio sapie z rozkoszy, a łysa główka perli się potem. I Józef wyciera tę główkę świeżą pieluchą, a Maria uśmiecha się do niego. Ten uśmiech sprawia mu przyjemność i całują się, a wtedy Krzysio rączką łapie ją za nos i ciągnie. Józef czuje, jak wewnątrz niego twardnieją kości i ciało staje się elastyczne, a oddech równy i zdrowy.

I gdy tak się zapatrzył, w tej kalekiej kobiecie przypomniała mu się żona. Znowu była bardzo młoda. On przy niej leżał, a ona spała. Przyglądał się jej profilowi i lekko otwartym ustom, przez które szumiało wydychane powietrze. Dopiero teraz uświadomił sobie, że żadnej innej kobiecie nie przyglądał się tyle co Marii. Szczególnie gdy spała zmęczona miłością. Ale to było kiedyś. Choć to kiedyś na chwilę stało się teraz. Było jednak jak zdjęcie z postaciami, które głębszym oddechem można przedrzeć na pół i unicestwić. Tak też zrobił. Wziął głęboki oddech.

Musiał wyjść do tartaku. Zostawił syna i Marię. Niech są dla siebie. On tylko przeszkadzał.

\*

W tartaku leżały równo pocięte deski i Józef czuł, że są tak samo martwe jak on. Niby nic się nie zmieniło, ale zmieniło się wszystko. Józef już wiedział, że nie znajdzie spokoju. Dotąd ludził się, że pomoże mu w tym żona, później syn, wreszcie tartak, pieniądze, kobiety... Nic z tego. Im więcej miał wszystkiego, tym mniej miał spokoju. Zresztą nadmiar rzeczy i zdarzeń był pozorny. Nie zapewniał bezpieczeństwa, którego tak pragnął.

Drewno już mu nie pachniało. Nie irytowały go gniazda os, które zasiedlały składy drewna. Kiedyś kazałyby te gniazda zniszczyć, teraz osy łamały sobie na nim ostrza, a on nic sobie z tego nie robił.

Przed nim stała jego ulubiona maszyna. Martwa jak drewno, które przenosiła w swoich żelaznych szczękach. Używana. Z Niemiec. Był dumny z tego zakupu, ale nie teraz. Teraz wszystko mu obojętniało. Niespłacone kredyty zżarły mu wątrobę. Kobiety, które miał, zabrały mu ochotę. Wszystko, co było, przestało być i przepadło. Właściwie zawsze sam na sam ze sobą. Nie przyznawał się do tego. Teraz to zrozumiał.

Może to głupie, ale gdy tak patrzył na swój tartak, to myślał o długach. Odkąd Pasięka doszedł do władzy, znajomi Józefa odwrócili się od niego plecami, i albo pospadali ze stołków, albo teraz sami potrzebowali pomocy. W dodatku ten Panek, gnojczek, co okazał się gnojem!

Józef dostał pismo z banku, że jutro przyjdzie komornik i z jeszcze jednego banku, że za tydzień przyjdzie następny. Po tym pierwszym to chyba już niewiele zostanie dla drugiego. W dodatku groziły mu potężne kary z urzędu skarbowego. Wystarczyło otworzyć kopertę, żeby odczytać, ile musi zapłacić. Wszy jebane! Nie wszyscy oczywiście, nie wszyscy byli tymi wszami, ale aż dziw bierze, że niektórym chce się pracować w takim zawodzie jak komornik, inspektor urzędu skarbowego, czy podobne ścierwo.

Józef wszystko to sobie przemyślał. Nie spał całymi nocami. Wreszcie zdecydował. Chuja dostaną! Zbudował tartak nie po to, by teraz go oddać. Już nie miał siły kombinować. Spali wszystko w pizdu! Nie będzie mu żaden mafioso ciął drewna pod oknami.

Już czuł ostrą woń benzyny. I widział nagły rozbłysk wybuchu. Ogień pochłaniał czarne szkielety desek. Obraz ten krzyczał, jakby byli w nim ludzie. I ruszało się palone drewno, choć przecież był to ruch płomieni. Po jakimś czasie przyjechała straż. Z miasta i okolic. Lali wodę, pytali się, kto to mógł zrobić. Józef stał tylko i przyglądał się, jakie to piękne: ta zabójcza czystość ognia, którego języki nie wpadają w patos słów, próbujących go opisać. Jedyne żywioł nie skundlony domieszka obcego ciała. Kłujący nieskończoną ilością żądeł, pozorujących jedno ciało. Właściwie pasożyt trawiący istotę, na której żeruje zawsze tak samo – na popiół.



Do domu ogień miał za daleko, choć żar rozgrzał szyby okien. Powietrze zgęstniało. Falujące przed oczami masy odmieniały znaczenia rzeczy, które pomimo zniekształceń próbowały zachować pierwotną formę. Wszystko jednak topiła temperatura. Na szczęście ogień nie wylał się poza teren tartaku. Przyjechała policja. Te same pytania. Kto to mógł zrobić? Wrogów mam wielu, odpowiadał Myśliwski. Wszystkich! Wszyscy mogli to zrobić? Wielu... Nazwiska? Tyle tego, że aż nie chce się mówić.

I Józef wszystko to widział i bełkotał pod nosem. A czuł się przy tym tak, jakby powoli zalewała go woda.

## WODA I NIE TYLKO

Synowie Sękowiaka patrzyli na kąpiących się z wyraźną niechęcią. Miejskie, dobrze odżywione ciała błyszcząły od wody i mogło wydawać się, że z tych ciał obficie wycieka pot. Bachory śmiały się, a kobiety histerycznie krzyczały. Im mocniej były wstawione, tym głośniej. Mężczyźni z pękatymi brzuchami popijali piwo i bekali. Stali po kolana w wodzie i od czasu do czasu któryś mniej leniwy zginał puszkę po piwie, odrzucał ją w krzaki i z głośnym plaśnięciem wpadał do wody. Ręce i nogi z trudem pracowały. Otłuszczony korpus ciągnął w dół.

W dole widać ciemne dno. W górze niebo zanurzone w krzywym zwierciadle wody. Im głębiej, tym bardziej zmieniają się punkty odniesienia. Można być do góry nogami, jednocześnie będąc nogami w dół. Ciało zapomina o swojej roli. Może jeszcze głowa pamięta. Jest pępowiną łączącą z życiem. W głowie mózg, który wcale już nie jest taki pewny swego. Coś zaczyna szwankować, bo za wesoło, za przyjemnie i za lekko. Normalnie nie może być tak, żeby było aż tak dobrze. Trzeba uciekać, choć już bardzo się nie chce. Pragnienie życia instynktownie pcha w jasność. Przez wąską szczelinę wyrzuca w pierwszy oddech i krtusząc się, oznajmia koniec beztroski. Czas już nie stoi w miejscu. I kręci się w głowie od tego wszystkiego.

Jeziro, w którym akurat kąpali się obcy, widać było z podwórka Sękowiaka. Po tym podwórku chodziły kury i srały gdzie popadnie. Z obory śmierdziało niemytymi krowami i świniami. Ale drzewo, pod którym siedział Sękowiak, było piękne. Rzuciło chłodny cień na stół, gdzie stała flaszka. Przyniósł ją Alek.

– Mamunia! Daj no jakie szkło – zawołał Sękowiak w stronę wejścia do domu, które zasłonięte było wełnianą zasłoną, haftowaną w słoneczniki.

– Znowu będziesz pić? – zgarbiona staruszka postawiła dwie szklanki obok flaszki.

– Ty to, mamunia, zawsze narzekasz – westchnął Sękowiak już bardzo zdenerwowany. – Noga mnie napierdala, to co mam robić? – chwycił się za biodro. Od kilku miesięcy dokuczalo mu dotkliwie. Noge opierał o taboret, który stał przy stole.

– Na operację trza tobie pójść do miasta – powiedziała matka.

– Na operację, kurwa! – Sękowiak z politowaniem spojrział na matkę. – Ty to, mamunia, lepiej nie wyskakuj z tymi swoimi, ten tego... – zwrócił się do Alka, wychylając się po flaszkę. – Pić muszę, bo wtedy nie boli. I tak wszystko mam opracowane. Bracia u Helmutów dobrze żyją, to jak mi noga nie przestanie napierdalać, dam operować. A co? No nie? Dlaczego nie? Jak coś tam gnije, to dam, ciemny nie jestem, żeby nie dać – skinął szklanką w stronę Alka i przełknął:

– Uff! Dobra!

Alek splunął pod swoje nogi. Zawsze spluwał przy wódce.

– Mam wszystko opracowane – ciągnął Sękowiak. – Z braćmi już gadałem. Zamówię u braci taki wózek z silnikiem i taką kierownicą, no wiesz, taką gałką i będę popierdalał po turystach, że aż! Kupię o! takie cudo! A nie jak ten tam – skinął w stronę jeziora, jakby myślą przeskakiwał poza wodę – dla żony żałuje...

Alek też spojrział w stronę jeziora. Jakoś nie chciało mu się mówić. Ten łyk wódki przyjemnie wyścielał się w żołądku.

– Choć ja to mojej starej też nie daję – ściszył głos Sękowiak. – Gdyby wszystko wiedziała, musiałbym zajebać, bo inaczej źle byłoby ze mną... A zresztą nic ta jęzda nie robi, tylko łązi po wiosce... Ale ja to się dobrze ustawiłem! – ostatnie zdanie powiedział głośno i odchylił się na ławie, rozkładając ręce na oparciu. Spod podkoszulka wytoczył się obrośnięty brzuch:

– Turystów nazjeżdżało, to im pozwoliłem domki stawiać, dlaczego nie? Srają? Wybudowali sobie sracze. Brudzą jezioro? Przez zimę będzie czyste. A co tam! Ważne, że się kręci, no nie? – mruknął porozumiewawczo. – Na polu już nie muszę robić, bo wystarczy mi z tych moich. A jak przydusi, to zrobię obchód i wszędzie witają. To jakieś piwko, panie gospodarzu, a może po kielonie, a czemu nie, no nie? No i jeszcze zostało trochę drzew dla tego tam – znowu wskazał brodą na jezioro, ale tak, jakby chciał wskazać coś, co znajduje się za jeziorem. – Zawsze można wyciąć – mruknął. – Tylko ta noga...

– Gorzej? – Alek nalewał następną kolejkę.

– Chuj z nią – Sękowiak zachłannie obserwował ruchy Alka. – Gorzej, że sołtys się czepia, że te domki i sracze za blisko jeziora i niby zaśmiecają środowisko... Nie pasuje mu, że każdy domek inny i gówna ze sraczy podobno zatruwają glebę... Ma jakieś dokumenty i mam wszystko rozpiardolić, bo inaczej pójdzie do wójta i gmina się za to weźmie. A wiesz, co ja na to? Chuja rozpiardolicie! To moja ziemia i mogę z nią robić, co chcę i nikt bez mojej zgody tu nie wejdzie, no nie?! To, kurwa, teren prywatny, no nie?!

W jeziorze pluskały się ciała. Muchy lawirowały na głowami. Alek zdjął ten swój kapelusz z Ameryki i położył na stole. Od czasu do czasu w oborze chrząknęła świnia, krowy milczały, bo najstarsze z Sękowiaków wyprowadziło je rano na łąkę. Nic się nie chciało. Półlitrowka topniała w oczach.

– A mówiłem ci, że nawet Pasieka mnie chwalił za, jak to on powiedział, zagospodarowanie brzegu, czy jakoś tak? – mlasnął z rozmarzeniem Sękowiak. – Był tu i najbardziej podobały mu się te domki. Powiedział, żebym nikogo się nie bał, bo dobry ze mnie gospodarz i ludzie mi tylko zazdroszczą. Nawet wypiliśmy trochę. Powiedział, że tacy jak ja są przyszłością narodu. Dałem mu... – spojrzął uważnie na Alka, który był mało zainteresowany tym wszystkim, i to Sękowiaka trochę uspokoiło.

– Choć sam nie mam – zaznaczył Sękowiak – to dałem mu jakiś tysiączek. Z tego Pasieki porządny chłop. Wiem, że opłaci mi się po wyborach. Na pewno odda i dorzuci ten procent, co to mówił... – tutaj Sękowiak przerwał, bo pomyślał, że lepiej dalej o tym nie mówić.

– A wiesz, że ostatnio był w mieście? – podjął jednak Alek.

– Kto?

– No ten Pasieka.

– Aha, i co?

– Miał spotkanie wyborcze w dyskotecce, co to ją mafia ma.

– Kto ci to powiedział?

– Michał.

– Michał to narkoman, gównno wie.

– Może – wzruszył ramionami Alek.

Siedzieli już trochę i tylko owady bzyzczały, no i te śwynie w oborze charkały sobie do koryta. Gdzieś daleko słyhać było piły, ale to na pewno nie tartak Myśliwskiego. Alek milczał. Sękowiakowi nie za bardzo to pasowało. On lubił mówić. Musiał mówić. Mówienie umiejscawiało go w świecie. Jeśli nie mówił, to musiał coś robić – nie to, żeby był taki pracowity, ale musiał wtedy coś robić, choćby pić. A odkąd zaczęły się kłopoty z nogą, to musiał albo mówić, albo pić, a najlepiej tak jak teraz, i pić, i mówić.

– A jak tam u ciebie? – zapytał Alka, który wzruszył ramionami i rozlał ostatnie łyki do szklanek.

– Mówią, że ta Mariola ci ten tego... Niezła jest, no nie?!

– Mówią? – po jakimś czasie spytał Alek. Właśnie zapalał papierosa.

– No wiesz... ten tego – Sękowiak za bardzo nie wiedział, jak zagadać. Dopóki mówił o sobie, wiedział, co mówić, ale gdy miał powiedzieć coś o kimś, głupiał w jednej chwili. – No, ale ta twoja Mariola może zwijać manatki. Chłopaki przestają pić i zbierają na kurwy.

– Co ty powiesz? – pokiwał głową Alek. – Bez picia długo nie wytrzymają – mruknął.

– A ruchańsko to co, nieprzyjemne? Tym bardziej że dziewczynki młode i nasze, no i mają opiekę, wygodne pokoje i nie są drogie – Sękowiak oblizał się, bo chyba coś sobie wyobraził.

– No tak, to wiem. Podobno córka tego, jak mu tam, no tego... – Alek nie mógł przypomnieć sobie nazwiska Mariana Zygmunta.

– Ja tam do was nie chodzę, to nie znam – przerwał mu Sękowiak. – Kiedyś poszliśmy do was z chłopami, no do Marioli, to później z pegeerusami rzucaliśmy się kamieniami z drogi, chyba z dziesięć metrów wyrwaliśmy kamieni, a krew się lała! – rozmarzył się Sękowiak. Zawsze się rozmarzał, gdy mówił o jakiejś bójce. Ostatni łyk wódki jakoś tak go miło rozebrał, że aż krzyknął w stronę wejścia do domu:

– Mamunia! Mamunia, przynieś no ten tego, wiesz! Tam w spiżarni!

Matka przyszła z litrową bańką, na dzień której falowała resztką bimbru.

– O, jest jeszcze trochę! – zawołał rozradowany Sękowiak.

– Musisz tyle pić? Toż noga... Gdyby Andzia to widziała... – narzekła matka.

– Andzia, Andzia! Andzia popierdala po koleżankach!

– Takie picie na twoją nogę dobrze nie zrobi... – matka wciąż próbowała ostudzić zapał Sękowiaka, który już rozlewał samogon do szklanek.

– Mamunia, ty mnie, mamunia, nie wkurwiał! – wspomnienie o nodze trochę zdenerwowało Sękowiaka.

– Ale...

– Mamunia, jeszcze trochę, to jak pierdolnę! – powiedział bardzo spokojnie Sękowiak i nawet nie skończył, bo matka schowała się za wełnianą zasłoną.

– Muszę się odlać – stwierdził Alek.

– Lej, gdzie chcesz.

Alek wyszedł z podwórka i stanął pod ścianą obory. Osłaniały go gałęzie i liście bżów. Intensywny zapach drobnych kwiatów mieszał się z kwaśną wonią kurzych odchodów i szczyń Alka, którego od pewnego czasu coś męczyło. Pił ostatnio dużo. Właściwie to cały czas. Nie wychodziło mu z panią Mariolą, która naprawdę mu się podobała. Od wypadku z tym chłopakiem, co go spaliło na szerniałą zapałkę, zrobiła się jakaś dziwna. Zdarzało się, że knajpa była zamknięta w niedzielę. Akurat wtedy, gdy największy ruch! Nigdy wcześniej tak nie było.

Alek przeprowadził prywatne śledztwo, ale nikt nie mówił, że pani Mariola puszcza się na boku. Była czysta i niewinna jak nigdy. Nawet nie spotykała się z Myśliwskim. To dobrze. To bardzo dobrze. Ale dla Alka żadna korzyść. Choć teraz nikt nie miał u niej szans, to tym samym i on się nie liczył. W dodatku ona nic innego nie robiła, jak tylko do kościoła i do kościoła. Nigdy wcześniej nie chodziła do kościoła, a teraz jak najbardziej.

Oczywiście nie chodziła do tutejszego kościoła. Odkąd ten przystojniaczek, który mógł robić za modela, a nie księdza, skłął ją z ambony, nigdy więcej nie weszła do tutejszego kościoła. Jeździła do miasta. No, ale po co jej ten kościół? No, po co? A może to przez tego spalonego szczeniaka? Może to wszystko przez niego? Może to dla niego?

Ostatnio Alek zaczął podejrzewać, że pani Mariola jeździ do miasta nie tylko do kościoła. Dlatego pojechał raz z nią, że niby w jakichś sprawach. Wsiadł do autobusu, a ona nawet nie spojrzała w jego stronę! Trochę go to speszyło. Nie przysiadł się do niej. W mieście śledził każdy jej ruch. Okazało się, że poszła prosto do biblioteki. Uspokoił się nieco. Jak ma ochotę czytać, niech sobie czyta. Tyle że z biblioteki poszła prosto na cmentarz. Nagrobka, przed którym usiadła, szukała tylko przez chwilę, tak jakby dokładnie wiedziała, gdzie jest.

Pewnie wiedziała. Pewnie nie pierwszy raz tu przyszła. Pewnie dla tego szczeniaka, którego kupka prochu leżała teraz w trumnie, co swoim podłużnym kształtem miała udawać, że kryje w sobie jakieś ciało.

Pani Mariola była tak pochłonięta lekturą i wzdychaniem do fotografii na nagrobku, że nie widziała Alka, który siedział za nią, zaledwie kilka pomników dalej. Patrzył, jak jej plecy ogrzewały promienie słońca, z trudnością przeciskające się przez gałęzie drzew, które tutaj rosły szybko i od lat. Wielką przyjemność sprawiało mu przyglądanie się, jak pani Mariola co chwilę bezwiednie sięga ręką, by założyć za ucho opadający kosmyk włosów. Pomyślał, że warto by mieć z nią dzieci. Mogłaby wyprowadzić się z pegeeru i zamieszkać u niego w domu. Pomagałby jej w knajpie i przy dzieciach. Opiekowałby się nią i na pewno nie odezwałby się do niej źle. Ani razu. Nawet jeśli by go zdenerwowała. A jakby tego chciała, to ograniczyłby picie, a może nawet palenie, a co tam! I gdy tak marzył, zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie myślał w ten sposób o żadnej kobiecie.

Wstała z ławki dopiero po jakiejś godzinie. Alek podszedł do krzyża, przed którym spędziła tyle czasu. Jego podejrzenia potwierdziły się. Z fotografii patrzyła na niego znajoma twarz. Choć widział ją może dwa razy, przy okazji, w knajpie, teraz dokładnie ją rozpoznał. Szczeniak spalony na zapałkę! Kurwa jego mać!



Zatrzymany na fotografii – jeszcze w dodatku z tym uśmiechem – zawsze będzie ładny, zawsze będzie młody! Nigdy się nie zestarzeje! To niesprawiedliwe. Żywi wobec takiego wiecznie młodego wspomnienia nie mają żadnych szans. Będą się starzeć i umierać, a obraz zastygły we wspomnieniu na zawsze pozostanie świeży i żywy.

Pani Mariola rzeczywiście chodziła jak zaczarowana. Odkąd zginął ten chłopak, nie potrafiła przestać o nim myśleć.

Dowiedziała się nawet, kiedy odbędzie się jego pogrzeb, a gdy nadszedł czas, nawet się nie zastanawiała i pojechała do miasta na ceremonię.

Zobaczyła jego matkę. Bogato ubraną, zadbaną kobietę. Łzy nie rozmazywały jej makijażu. Ale pani Marioli wydawało się, że znowu tak bardzo to ona nie płacze. Te łzy ciekły jej jakoś tak, że zanim spłynęły z kącika oka, zawsze zdążyła wysuszyć je chusteczką. W dodatku często mrużyła oczy, by w ogóle coś z nich wycisnąć. Tak jakby nie płakała, ale próbowała płakać i tylko po to, aby wszyscy widzieli, że strasznie jej po stracie jedyne go syna i jak szczerze go żałuje.

W ogóle dziwny był to pogrzeb. Taki krótki i mało ludzi. A ci, co przyszli, to raczej znajomi matki, a nie syna. Dobrze ubrani, pachnący drogimi perfumami, wyprostowani na ile pozwalały im duże brzuchy, biznesmeni. Choć byli też ci trzej, z którymi chłopak zawsze przed wejściem na słup wysokiego napięcia przełykał setkę wódki, dla oszołomienia błędnika. Po takiej setce błędnik nie szalał, zachowywał się spokojnie, i wtedy ręce i nogi pewniej wykonywały swoją robotę, podczas gdy głowa bujała gdzieś w obłokach i nie drżała przed otchłanią w dole.

Po pogrzebie okazało się, że poza panią Mariolą prawie nikt nie odwiedza grobu. Za każdym razem, gdy przychodziła na cmentarz, sprzątała zwiędłe kwiaty, które poprzednio sama przyniosła, i wyrzucała skorupy po swoich zniczach. Tylko na święto zmarłych było trochę obcych zniczy i kwiatów. No i w rocznicę urodzin i śmierci chłopaka zawsze jeden duży znicz i bukiet czerwonych róż, pewnie od matki.

– Jestem jałowa i nie mogłabym mieć z tobą dziecka. Zresztą ty sam byłeś jak dziecko i chyba nic z nas by nie wyszło – czuła, że cała ta sytuacja stawiają na równi z bohaterkami romansów, które ostatnio wręcz pochłaniała. Czuła, że jej myśli wysubtelniały.

– Ale dlaczego mnie to spotkało? Tyle chłopów dokoła. Zawsze mi się podobali. Dlaczego mnie męczysz i nie dajesz o sobie zapomnieć? – myślała wciąż nad grobem kochanka, który nie zdążył jej pokochać.

Gdy Alek znowu spotkał panią Mariolę, odważył się i zaczął ją. Szła akurat na przystanek. Pewnie do kościoła i na cmentarz. Już był po dwóch piwach, to i spokój większy rozpląwał się po jego żyłach. Ale gdy ją zobaczył, serce zaczęło mu bić tak mocno, że aż pociemniało w oczach.

– Dlaczego nie podajesz w knajpie? – chyba pierwszy raz powiedział do niej na ty.

Nawet nie usłyszała tego i przeszłaby obok, gdyby nie chwycił jej za ramię.

– Czego?! – krzyknęła zaskoczona.

– Ja... dlaczego nie podajesz w knajpie, tylko ta, jak jej tam? – powtórzył, bo co miał mówić.

– Podaje Zocha, a co, zła? – odcięła się.

– No nie, ale... – stał zakłopotany i widział, jak oczy pani Marioli łagodnieją. Nigdy wcześniej nie czuł się tak zawstydzony. A ona stała tak, jakby zapomniała o czymś i teraz próbowała sobie to coś przypomnieć. Wreszcie szepnęła jakoś tak prosząco:

– Nie mogę... Nie mogę... – i Alek był przekonany, że zaraz się rozplacze, ale ona tylko spuściła głowę i szybkim krokiem ruszyła w stronę szosy.

Po tym spotkaniu Alek poczuł się, jakby wypił nie dwa, ale dziesięć piw. Szedł przed siebie i nie wiedział gdzie. A gdy znalazł się po drugiej stronie jeziora, stwierdził, że blisko mu do Sękowiaka i że właściwie to dawno go nie widział. Na pewno jeszcze przed wyjazdem do Ameryki. Dlatego kupił flaszkę, w takim jednym sklepie, który, odkąd obcy wybudowali sobie na ziemi Sękowiaka domki z dykty, zaczął rozkwitać w ogólnospóżywczy z prawdziwego zdarzenia.

\*

Alek skończył i zapiął rozporek. Już pusty i bezmyślny wrócił do Sękowiaka. Nogi mu trochę osłabły i z ciężkim tąpnięciem usiadł przy stole. Bimber czekał na dnie szklanki.

Na podwórko weszły dwie młode dziewczyny z pustymi, plastikowymi kanistrami na wodę.

– Wiecie gdzie? – krzyknął w ich stronę Sękowiak. Dziewczyny przytaknęły i znikły w oborze, gdzie z klepiska sterczał kran, cały oblepiony kurzem gównem. Jedna z dziewczyn z obrzydzeniem zawiesiła rączkę kanistra na kurku i odkręciła wodę. Czysta struga odcinała się od syfu wesołą ruchliwością. Chłód wody muskał młode twarze i dziewczyny dziwnie zapatrzyły się w bulgocące wnętrze kanistra – żeby tylko zapomnieć o wszechobecnym brudzie.

Tymczasem Sękowiak tłumaczył Alkowi, jakby ten nic nie wiedział:

– Trochę tu teraz łoś u mnie. Przychodzą wodę nalewać do picia. Biorę od baniaka zeta. Zawsze coś się zbierze, no nie?!

Alek przytaknął. Sękowiak mlasnął:

– Te miejskie to błyszczą jakoś tak... Ładne, kurwa, ładne. Nie to, co moja Andzia. Wiesz, kiedyś to z niej też była niczego sobie laska. Na zabawie ją poznałem – rozmarzył się. – Miała taki gruby warkocz, cyc i dupsko. Młoda, to miała. Wiesz jak jest. A teraz... Nawet nie wpuszcza mnie do siebie. Chce, żebym mył się przed spaniem! Wyobrażasz sobie?!

Dziewczyny wyszły z obory. Ugiwały się pod ciężarem pełnych kanistrów. Nieśmiało powiedziały „dziękujemy i do widzenia”, na co Sękowiak obleśnie cmoknął w ich stronę. Trochę powstały przy wyjściu z podwórka. Chyba z kimś rozmawiały. Sękowiak usłyszał głos Andzi. Wreszcie zobaczył ją. Szła szybko przez podwórko. Za szybko. Żle to rokowało.

– Znowu pijesz? – nawet nie spojrzała na Alka.

– A co mam robić? – jęknął Sękowiak.

– Co masz robić?! Co masz robić?! Ja ci zaraz powiem, co masz robić!

– Może byś się przywitała – jeszcze próbował Sękowiak, wskazując na Alka.

– Ciągłe pije – bezwiednie zwróciła się do gościa. – Nic nie robi, tylko pije. Tłumaczy się nogą...

– Daj spokój! – machnął ręką Sękowiak.

– Spokój? Spokój?! – zaczęła krzyczeć, ale Alek już tego nie słyszał. Dokończył szklanekę i splunął w dół. Zobaczył, jak ślina obtacza się pyłem i zamienia w filigranową kulkę gnoju. Nic więcej. Bardzo go to przygnębiło. Chwycił ze stołu kapelusz i bez słowa wyszedł z podwórka.

Sękowiak i Andzia spojrzeli po sobie. Za chwilę Sękowiak zacznie krzyczeć na żonę, że obraziła gościa. Wtedy Andzia, udając obojętność, odwróci się i z wyzywającym ociąganiem wejdzie do domu, rozchylając przy tym zasłonę. Sękowiak jeszcze trochę pokrzyczy, ale przestanie, gdy na podwórko wejdzie obcy z plastikowym kanistrem na wodę.

Niekiedy wylewała rzeka. Szczególnie gdy schodziły śniegi albo padał deszcz. W pegeerach, bo były najbliżej rzeki, przygotowywano worki z piaskiem. Płócienne, żeby woda mogła wsiąkać. Ludzie ciężko pracowali. Układali z worków wały, nurzając się przy tym w błocie. Ubrania brązowiwały. Postacie wyglądały jak odlane z ziemi. Ruszali się, jakby brakowało im sił, albo jakby bardzo im się nie chciało. Dla wielu była to pierwsza robota od dłuższego czasu. I nic za nią nie mieli. Mogli co najwyżej stracić, jeśli by jej nie wykonali. Ale co stracić? Zagrzybione pegeery?

Pracowali bez zbędnego zdenerwowania, właściwie bardzo spokojnie. Już nic ich nie mogło zaskoczyć. Powódź? Jak będzie, to będzie – a bo to pierwszy raz? Przyzwyczajenie nie dopuszczało myśli o jeszcze większej biedzie, która czekała, gdyby zalało. Przecież i tak już gorzej chyba być nie mogło. I tylko świadomość, że zawsze jakoś jest, bo nigdy nie jest tak, żeby jakoś nie było, utrzymywała ich w pionie.

Ludzie z pegeerów przynależeli do tutaj. Stąd nie mogli odejść. Dla Mariana Zygmunta cała okolica byłaby bez nich za czysta, za równa, za pusta. Ich zapach, nawet jeśli smród, i ich głos, nawet jeśli wrzask, zawsze znajomy. Marian Zygmunt wiedział, że nawet utrata pracy po kolejnych zwolnieniach w fabryce mebli tylko zbliży go do kumpli. Będzie już wtedy pełną gębą z nimi. We wspólnej biedzie, a nie jak dotąd, z kainowym znamieniem roboty na czole.

Tutaj, w pegeerach, najgłośniejsze były dzieciaki. Razem ze szczekającymi kundlami kręciły się pod nogami. Miały dużo siły, która nie znaczyła nic w dorosłym świecie. Dla dzieciaków ciągle coś się działo. Dla dorosłych niewiele. Dorośli wyglądali na zmęczonych i nie dlatego, że układali wały z worków, przy tym akurat odpoczywali, byli zmęczeni tym, że poza układaniem worków nic nie zapowiadało roboty. No bo co? Worki ułożą, woda zaleje albo nie zaleje, a jak zaleje, to w końcu cofnie się, i co dalej? Znowu to samo. Czekanie... I tylko od czasu do czasu bimber siarczysty, by świat nie śmierdział rybą, która najchętniej wskoczyłaby do gardła i połknęła tego robaka, co tkwił na sumieniu.

## SŁOŃCE I NIE TYLKO

Raz Myśliwski wypił z Alkiem wódkę. Jeden jedyny raz wypili ze sobą, i tylko dlatego, że ostatnio obaj dużo pili. Stąd i łatwiej było zdecydować się na wspólne posiedzenie.

Po obiedzie, na który czasami Myśliwski zapraszał po robocie, Alek jeszcze przez chwilę został, by zapalić papierosa. Siedzieli na dworze. Dym z papierosa cienką strużką wkręcał się w niebo. Gdzieś tam w górze roztrzącał go delikatny podmuch, jednak dość silny, by unicestwić. Z takiego dymu pozostawał jedynie duszący zapach. W końcu i jego wchłaniała woń ziemi i powietrza.

Myśliwski skinął głową na pielęgniarkę, która teraz robiła przy Marii i w kuchni. Profesjonalistka. Bezbłędnie odczytywała zamiary Józefa. Ledwo Alek zapalił papierosa, a już oszroniona butelka wódki lśniła przed nim w słońcu.

– Napijemy się – oznajmił Myśliwski, a Alek strzyknął śliną w trawę. Zawsze tak robił przed kieliszkiem. Wypili w milczeniu trzy razy, a gdy już zaczęli trochę inaczej widzieć świat, Józef zapytał Alka:

– I co zamierzasz zrobić?

– Pójdę sobie.

– Znudziła ci się u mnie robota?

– Jaka robota? W spalonym tartaku? – zachnął się Alek. Założył ten swój kowbojski kapelusz na głowę, jakby miał zamiar zaraz iść.

– Są jeszcze pola.

– Chuj z polami. Mówią, że sam spaliłeś – dodał po chwili Alek.

– Wierzysz w to?

Alek nie odpowiedział. Grzał twarz w słońcu.

– Wiesz, że tam u Sękowiaka też był taki jeden kowboj – zaczął powoli Myśliwski, uważnie przy tym obserwując Alka, który sięgnął po paczkę z papierosami. – Chodził w takim kapeluszu jak ty, tylko jeszcze miał buty z ostrogami. – Myśliwski rozlał do kieliszków kolejne dawki. – Właściwie to był pojebaniec. Wiadomo, obcy.

Alek patrzył na słońce i mrużył oczy, jakby nie obchodziło go nic poza ciepłem na twarzy.

– Którego dnia ten kowboj wracał z chlania – ciągnął Myśliwski – i wpadł do basenu pożarowego, co był koło remizy strażackiej. Trzy dni go szukali. Dopiero gdy wypłynął jego kapelusz, dowiedzieli się, gdzie go szukać. Basen osuszyli i zasypali.

Alek wstał i powiedział:

– Ja wiem, co ty robiłeś z moją siostrą. Myślisz, że nie wiem? Wszyscy wiedzą. Tylko jak ona jest taka głupia, że nic nie mówiła, to widocznie jej to pasowało. Ja się nie wtrącam, ale patrzeć też mi się odechciało – przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się, czy ma mówić dalej, czy nie. Jednak powiedział. – Po co mam podrzynać gardło szwagrowi? Żeby później siedzieć za głupią babę, na której mi nie zależy? A zresztą teraz to już i tak nic jej nie pomoże. Tobie też – i splunął na psa urok.

Myśliwski przyjął te słowa ze spokojem. Nalał jeszcze po kieliszku. Tylko że Alek nie miał już zamiaru z nim pić. Odwrócił się i poszedł. Jego sylwetkę czerniło słońce. Myśliwski kończył wódkę sam.

\*



Z trudem mu to szło. Głowa ciążyła ku dołowi, w dodatku wódka już się nagrzała. Józef silnie zakaszał. Musiał odchrząknąć coś, co stanęło mu w przełyku i zabierało oddech. W końcu wypluł niewidzialnego wroga.

W powietrzu jak śnieg unosił się rzepakowy pył. Słońce wyodrębniało każdą drobinę. Uważna obserwacja którejs z nich mogła sprawić, że człowiek czuł się jak obojętnie podrzucana i nikomu niepotrzebna maleńkość. Józef Myśliwski nie chciał na to patrzeć. Twardy jak kamień, miał uczulenie na pyłki w powietrzu, które zamieniały go w gąbkę, i wtedy Józef cierpiał, choć udawał, jak zwykle, że wszystko w porządku. Pył brutalnie pozbawiał go poczucia własnej odrębności. Unicestwiał w nim pewność siebie i teraz Myśliwskiemu bardzo wyraźnie przypomniała się sytuacja na szosie z Pasieką i chłopami, i rozmowa z Pankiem, i węszący dookoła komornicy... Pierwszy raz, odkąd pamiętał, poczuł, że nie jest Józefem, do którego się przyzwyczaił.

Aby nie zdradzić się przed samym sobą, nerwowym ruchem przechylił butelkę. Zakrztusił się. Zaczął pluć na boki. Poleciało mu z nosa. Przybiegła pielęgniarka. Warknął na nią jak pies i natychmiast usunęła się w cień. Z mroku, który ją osłonił, zobaczyła, jak Józefa zgina na kolana jakaś siła. A gdy już był na kolanach, to ta siła jakby nim kilka razy szarpnęła, bo pielęgniarka nie wierzyła, by Józef płakał.

\*

Maria samotnie siedziała w swoim pokoju i patrzyła w akwarium, które sprawił jej Krzysztof. Było dość duże, coś koło stu litrów, ale świat w nim umierał. Odkąd Krzysztof przestał przychodzić, Maria nie dawała sobie rady z jego pielęgnacją. Mimo tego nie pozwalała nikomu się do niego zbliżyć. Przynajmniej to chciała mieć dla siebie, nawet jeśli miałyby umrzeć.

Krzysztof musiał być gdzieś w mieście. Maria nie miała pojęcia, co mógł tam robić. Tęskniła za nim. Przez te kilka tygodni po wypadku bardzo jej pomagał. Być może pojawiła się szansa sklejenia wszystkiego na nowo. Szybko jednak stało się tak, jak miało się stać.

Krzysztof pokłócił się z Józefem. Pierwszy raz o matkę. Że to wszystko przez Józefa i on ma to w dupie. Nie może już na to patrzeć, na te jego dziwki i w ogóle na majątek, którego już nie było, on się tutaj dusi i takie tam... Zażądał kluczyków od mercedesa. Józef był zbyt zmęczony, by walczyć. Tak jakby spłonął razem z tartakiem. Dał Krzysztofowi samochód. Zresztą bank już dopytywał się o niego i pewnie przyjadą go zabrać. Zobaczą, że mercedesa nie ma, wkurwią się, a potem jakoś to będzie. Przynajmniej syn sobie trochę pojeździ. Kurz spod kół plunął Myśliwskiemu w twarz.

Później Krzysztof jeszcze kilka razy dzwonił i podawał numery kont, na jakie Józef miał przysyłać mu pieniądze. Groził, że jeśli ojciec tego nie zrobi, będzie zmuszony do skorzystania z pomocy kumpli, których poznał w areszcie. Józef nie mówił Marii o tych telefonach, ale pieniędzy nie wysyłał. No bo skąd? Z tyłka wyciągnie? W końcu Krzysztof przestał dzwonić. Pogrożki skończyły się na telefonach.

Józef zapomniał o Krzysztofie. Tak jakby nigdy nie miał syna. Całkiem też przestał dbać o interesy. Odechciało mu się. Już nawet nie płacił ani za opiekę przy Marii, ani Tośkowi, który próbował ciągle coś robić na gospodarce, ale już nic mu nie wychodziło. Wreszcie odesłał pielęgniarkę i nie było już nikogo, kto robiłby wokół Marii i domu.

Józef całymi dniami chodził po polach i pił. Dużo rozmawiał ze sobą. Teraz banki mogą zabierać sobie to, co zostało z tartaku. Chuj im w oko! Resztę niech biorą sobie w ziemi. Ma to gdzieś. A z tego, co mu zostanie, to i tak będzie forsa, bo kiedyś będą musieli wybudować autostradę łączącą miasto z krajem, i ta autostrada będzie przecinała jego ziemię. Wtedy sprzeda wszystko w pizdu i znowu będą pieniądze, ale tylko po to, żeby wycierać sobie nimi dupę, aż się wszystkie skończą. No chyba że długi przewyższają wartość majątku. Jeśli tak, to kaput! Po co podpisał te weksle, do kurwy nędzy?

Raz stanął pod Błękitną Madonną i spojrzał w jej twarz. Jakby chciał obudzić ją do życia. Patrzył i patrzył, a im dłużej patrzył, tym bardziej przechylał się w tył. Aż zobaczył chmury na niebie, a w chmurach dziurę jak świecące Oko. I to Oko przesunęło się z wiatrem i spojrzenie z góry przesunęło się z wiatrem. Na dole dla Oka ludzie byli tak mali, że aż ich nie czuło. Nie wiedziało, czym się kierują, choć przecież chodzili, jeździli, krzyczeli. Być może do Oka mógłby dolecieć jedynie krzyk. Ale Oko krzyku nie słyszało, bo przecież było tylko Okiem. Nie widziało też płaczu i śmiechu, bo wszystko dla Oka było zbyt małe i niezrozumiałe.

I Józef leżąc tak w pyle drogi, patrzył w świecące Oko. Bał się bardzo. Tak bardzo, że aż nie miał siły sięgnąć po butelkę, która upadła z nim na drogę i wysączała się z niej wódka. Wpływała w szczeliny wypełnione ciałami mrówek, zalewając je wysokoprocentowym nurtem. Józef uniósł się nad samego siebie i zobaczył, że na czubku głowy świeci mu łysina. Jakby nieśmiała namiastka aureoli, a przecież była to jedynie pieczęć wyjaśniająca działanie czasu.

Tym razem Józef stracił rachubę czasu. Delikatnie szybował nad swoim ciałem, którego nie czuł, i z trudnością poznawał w nim siebie. Było jak pień leżącego drzewa. Na dole bez ruchu tkwiło coś, co z zewnątrz stanowiło Józefa. Trochę wyżej otwierała się myśl, w której nikt nie dostrzegłby Józefa, bo trudno dostrzec myśl, za to Józef dzięki niej dostrzegał siebie.

Jednocześnie zobaczył dziecko, mężczyznę i starca. Dziecko, które żyło tak mocno w terażniejszości, bo nie domyślało się przyszłości, podobnie jak nieznaną mu była tęsknota za przeszłością, ponieważ za mało jej przeżyło. Zobaczył mężczyznę skupionego na planach i starca, coraz bardziej bezwładnego. Ich twarze i uczucia nałożyły się na siebie, stapiając miliardy sekund, na które rozpadł się Józef, w jeden punkt, będący Józefem od początku do końca i tym pomiędzy.

I dlatego Józef w tej samej chwili chował się za drzewami przed kolegą z podwórka, który próbował go znaleźć. I w tej samej chwili czuł pod palcami szorstkość pachnącej kory, czuł tak mocno, że mogła skaleczyć, gdyby ścisnął silniej, ale palce się wydłużyły jak gałęzie i dłoń wzrosła, aż stała się twardsza od drewna. Wtedy bez strachu o skaleczenie poklepywała po grzbietach deski ładowane i wywożone z tartaku, być może na łóżko dla starca, w którym Józef rozpoznał siebie i który poza leżeniem nic już nie miał do roboty, aż zbyt zeszytywniały na jakikolwiek protest został złożony w drewno i z drewnem w ziemię, w dół, lecz nie na amen, bo z dołu Józef znowu jako dziecko zobaczył swojego ojca, który był taki wielki, że aż zasłaniał słońce. Jednak Józef jak pasożytnicza roślina szybko dogonił ojca, wspinając się na wysokość jego oczu, i spojrzeli sobie w oczy, i wtedy Józef wygrał tak okrutnie, że sylwetka ojca skurczyła się i mógł już patrzeć na nią z góry. Tylko że w tej samej chwili poczuł nad sobą cień swojego syna, odwrócił się i zrozumiał, że syn stoi nad nim, a on zgarbiony, z dołu próbuje złapać wzrok syna, gdzieś tam w górze, już zbyt wysoko...

Czuł w ustach mleko z piersi matki, które zachodziło goryczą wypitej przez niego wódki i palonych na starość papierosów – kwaśny smak tytoniu, splukiwanego wódką, która w postaci mleka zapełniała żołądek niemowlęcia. Na nowo zrozumiał chwilę, kiedy dziecko zauważyło, że świat to nie tylko ja, ale też on i ona, i wszystkie te rzeczy, o które można się uderzyć. I równocześnie zrozumiał naukę, w jaki sposób te rzeczy wykorzystywać, by się z nimi nie zderzyć, a sprawić, by pokornie służyły.

Zobaczył swoją pierwszą miłość, oczywiście do starszej dziewczyny. Jej usta lekko wykrzywione poczuciem wyższości nad uganiającym się za nią szczeniakiem. Wtedy to poznał uczucie, które nie ograniczało się do samolubnego ssania mleka z piersi, zapychania się cukierkami, beztroskiej zabawy na podwórku, pierwszego alkoholu, byle tylko było przyjemnie. Teraz chodziło o to, by dobrze czuła się przede wszystkim ona, a on dopiero poprzez nią. Ale było to raz, jeden jedyny raz i szybko o tym zapomniał.

Życie przekonało go, by znajdował przyjemność przede wszystkim dla siebie. I przez to pragnienie ciągle był rozdrażniony, bo gdy tylko było trochę mniej niż dobrze, wydawało mu się, że jest bardzo źle. Pęczniący nadmiar ciał zalał Józefa jak woda. Tysiące rozkoszy i pustych głosów. Rozmowy bez sensu, gesty i słowa pozbawione konstrukcji splatającej je w treść. Za dużo tego było, stwierdził na starość, i wtedy zamknął oczy.

Na tym się jednak nie skończył. Choć został mu oszczędzony widok własnego ciała leżącego na drodze. W dodatku z tą łysiną pośrodku głowy. I wtedy chwila, w której skupiło się całe jego życie, gwałtownym rozkurczem serca rozpadła się na części. Znowu pozostał Józef bankrut, mąż Marii na wózkach i ojciec Krzysztofa, który był wszędzie tam, gdzie nie było jego rodziców. Wtedy Józef ocknął się i upadł z powrotem w swoje ciało.

Do kupy zebrał go dopiero Tosiek. Akurat przechodził. Przechodził, bo dzipa już dawno zabrali. Chwycił szefa pod pachy, podniósł i zaprowadził do domu. I gdy go tak niósł, czuł, że szef to już nie szef, tylko worek zgniłych kartofli. Do wyrzucenia.

I było mu go żal. Bo dobrze wiedział, jak to jest.

\*

Innym razem Myśliwski odwiedził diabelski kamień. Wsunął palce w pęknięcie i postanowił, że go rozerwie. Zaczął krzyczeć z wysiłku i mięśnie stężały w nim na kamień. Szybko jednak zwiotczały i Myśliwski zaczął się trząść. Zdarł dłonie do krwi i spocił się cały, a teraz wiatr beznamiętnie go studził. Szpara w kamieniu nie poszerzyła się nawet o paznokieć.

– Co ja takiego robię? Co ja, do kurwy nędzy, robię?! – Myśliwski usiadł zmęczony obok kamienia i ciężko zasapał. A gdy tak siedział, poczuł, że w jego głowie budzi się coś do życia i zaczyna dyktować mu myśli, w których nie potrafił odgadnąć siebie:

Ojcu pod koniec życia spłonął mózg i w jego czaszce pozostał popiół. Tylko lekki podmuch wspomnień sprzed lat potrafił wzburzyć tę kupę pyłu, ale mglisty obraz, który wtedy powstawał, trwał zaledwie chwilę. Jeśli ojciec coś sobie przypominał, to najwyżej czasy, kiedy był młody. Oczywiście zaczynały mu niezdrowo błyszczeć i patrzył przed siebie, jakby to, co zobaczył, nadawało się do pożarcia. Zresztą jadł bardzo dużo. Właściwie, gdyby nie wydzielano mu jedzenia, to jadłby bez końca. Po prostu zapominał, że należy przestać. Jak automat, któremu trzeba przeszkodzić, ponieważ sam nie jest w stanie zdecydować o czymkolwiek. Ojciec po prostu zapominał. Było to bardzo uciążliwe dla całej rodziny. Dla niego nie. On był poza tym światem.

Nie pamiętał nic z tego, co było wczoraj. Zapomniał nawet, że ma syna. Żonę pamiętał z pierwszych lat małżeństwa. Nie potrafił zrozumieć, że ona już od dawna nie żyje. Był przekonany, że ciągle są razem. Może dlatego często uśmiechał się do siebie. Zatopiony w wyobrażonym obrazie, wierzył w jego prawdziwość, która dawała mu szczęście. Ojciec kiedyś kochał matkę, a przecież to kiedyś było dla niego teraz!

Nie czuł bólu, bo potrafił utożsamić się tylko z bólem sprzed wielu lat, a czas sprawił, że z takiego bólu pozostała tylko atrapa. Czasami wskazywał na szklankę i pytał, co to jest, tak jakby nie zamarła w nim jedynie ciekawość dziecka, potrzebująca natychmiastowego zaspokojenia. Jednak, gdy mu się wyjaśniało, że to szklanka i do czego służy, już o niej nie pamiętał. Tkwił tylko w fotelu bez słowa, z sensem i bez sensu w głowie.

Ojciec umierał długo, choć bezboleśnie. Coraz mniej rozumiał z tego, co się dokoła niego dzieje. Często zalatywało od niego, bo robił pod siebie. Trzeba mu było zakładać pieluchy, podcierać tyłek, myć, obcinać zrogowaciałe paznokcie u rąk i stóp, ubierać, wycierać usta, na których perliła się wyciekająca ślina. Nie brał udziału w żadnej z tych czynności. Był jak lalka, którą bawią się dzieci, bardzo przejęte zabawą, podczas gdy lalka nic sobie z tego nie robi.

Zmarł zdrowy na ciele, ale pozbawiony mózgu. Józef pomyślał, że prawem następstwa spotka go to samo. Uwierzył w to i nie był pewien, czy taki koniec jest lepszy, czy gorszy. Wiadomo, mówi się, że koniec dla wszystkich jest ten sam i nie ma znaczenia cierpienie przeżyte po drodze. A jednak ta droga chyba bardziej przeraża niż sam koniec. Każdy chce, żeby jak najmniej bolało. Niektórym też zależy, aby do końca wyglądać godnie. Żeby pamiętano ich odwagę w obliczu śmierci. Że niby nie bali się.

Józef pamiętał cały ten czas, gdy był przy ojcu. Miesiące konania niszczyły wszystko, co w ojcu podziwiał i potępiał. Drażniła go jego bezradność. By nie znienawidzić go za starość, której się poddał, Józef próbował wskrzeszać obrazy sprzed lat. Choćby ten, gdy ojciec podrzucał go do góry, tak że obracało go wokół osi i cały świat się rozmywał, aż laskotało w przełyku, ale nie bał się tego, bo wiedział, że ojciec go złapie.

Ale choć tak bardzo się starał, nie potrafił odnieść tych wspomnień do starca, który leciał mu z rąk, gdy próbował posadzić go w wannie. Tak jakby tamten młody ojciec był prawdziwy, a ten tu wyjętą z koszmaru zjawą.

Dotyk wysuszonego ciała wywoływał w nim obrzydzenie. Nigdy w życiu nie byli tak blisko ze sobą, tylko że ojciec był jak drewno. Mebel wymagający podcierania, mycia, karmienia – czynności uświadamiane sobie tylko przez Józefa.

Czasami, gdy patrzył na nagość ojca, czuł się skrępowany. Tak jakby bezczelnie oglądał coś, co dotąd było mu zabronione. W młodości ojciec był zawsze ubrany, dokładnie zapięty pod szyję, gdy rano szedł do toalety, to w pidżamie. Józef widział go tylko raz bez podkoszulka, w krótkich spodenkach.

Drzwi do sypialni rodziców zawsze były zamknięte. Ich ciała dla syna nie istniały. Tylko twarze, ubrania i dłonie. Dopiero gdy u kumpla obejrzał pierwszego pornola, zaczął się zastanawiać. Tym bardziej że kumpel ciągle przekonywał go, że ich starzy też to muszą tak robić. Wystarczy tylko sobie wyobrazić. I Józef wyobraził sobie. W kolesiu posuwającym laskę od tyłu zobaczył ojca, a w lasce matkę. W jednej chwili świat się zmienił. Przestraszyło go to trochę, dlatego strasznie się upił z kumplem. Aż zwymiotował całe dzieciństwo.



No a teraz stare ciało ojca, pierwszy raz tak dokładnie obnażone przed synem, nie miało już w sobie nic z życia. Matka dawno rozpadła się w ziemi i rodzice tajemnicę swojej nagości, która istnieje tylko wtedy, gdy jest młoda, zabrali ze sobą. Po ich śmierci Józef zrozumiał, że człowiek naprawdę jest sam.

Był przy ojcu do końca. Gdy zmarł, Józef przeniósł się na wieś. No a teraz miał żonę, też bezwładną jak lalka. Bał się tego, bo podobnie jak ojca, nie lubił swojej żony, ale coś, z czym się urodził, nakazywało mu przy niej zostać. Do końca. Jak przy ojcu.

Dlaczego o nim myślał? Być może jest tak, że gdy człowiek już nie ma do kogo się zwrócić, budzą się duchy, o których dawno zapomniał, podczas gdy one nie zapominają.

\*

Ludzie, o dziwo, dali Myśliwskiemu spokój. Niektórzy uważali, że pokarało go za te bogactwa. Większość jednak podejrzewała go o jakiś nowy, podstępny pomysł, który zwiększy jego fortunę. Tymczasem Myśliwski przesiadywał na podwórku, patrzył na zgliszcza, które zostały z tartaku, i czekał aż wiatr sypnie mu w twarz popiołem. Próchniał od środka. Już nie miał kości i jelit, tylko próchno. Kilka kur, co je mieli z Marią, kręciło mu się pod nogami. Co chwilę któraś dziobnęła w sznurówkę, pewnie myśląc, że to robak. Kury myślały, Józef już nie. Chyba go to uspokajało. Niczego już nie potrzebował. Może tylko butelki.

Jeśli trochę mniej wypił, odzyskiwał świadomość. W takich chwilach zaczynał podróżować. Nie ruszał się z miejsca, a zwiedzał wszystkie kraje świata, które były, są i będą. Wyobraźnia nie obciążona wiedzą podrzucała mu obrazy tak kolorowe, że stać byłoby na nie jedynie dziecko. Józef uciekał stąd, bo tutaj go zmęczyło, bo wszystko już wiedział o tutaj i nie potrzebował już tutaj być, by wiedzieć, że będzie tkwił tutaj na zawsze. Jak drzewo, które samo nie ruszy się z miejsca, bo nie potrafi.

Na stole w kuchni leżało wezwanie do sądu. Był głównym podejrzanym w sprawie podpalenia tartaku, no i miał wyjaśnić pewne nieścisłości związane z prowadzeniem firmy. Już nie pamiętał, jaki mu wyznaczono termin na stawienie się w sądzie. Miał to gdzieś. Jeśli jego osoba interesuje ich naprawę, to sami po niego przyjadą. Jemu się już nic nie chce.

No i pokazali się. Policyjny samochód był jak ze snu. Józef nie wstydził się niczego. Nawet mu ulżyło. Przez jakiś czas będzie zwolniony z podejmowania decyzji. Był bardzo spokojny, gdy wsiadał do radiowozu. Zdążył wyleczyć się z poczucia straty. Przyzwyczaił się do myśli, że skoro nie spłacił majątku, to nie może mówić, że był jego, a skoro nie był jego, to właściwie nic mu nie zabierają. Oczywiście pożar tartaku nie przemawiał na jego korzyść, choć trudno będzie mu udowodnić, że akurat on go podpałił. A jeśli coś tam nie będzie się zgadzało, to niech mu udowadniają. Najwyżej posiedzi sobie przez jakiś czas w jednym miejscu. Później wyjdzie i będą mu odpuszczone wszystkie grzechy, nawet jeśli zmyślone. Niech i tak będzie. Co go tam! Grunt, że wreszcie odpocznie.

Tymczasem Maria zanurzała się w podwodnym świecie. Zapuszczone akwarium wyglądało źle. Głodne ryby obgryzały sobie płetwy. Zostawały z nich strzępy. Gdzieś na dnie unosił się zbielały korpus z wyjedzonymi oczami. Jeszcze nie do końca obgryziony szkielet chroniło potargane mięso tułowia. Jak larwa dzikuna wyglądała taka zdechła ryba. Wplątana w gówniany nalot, który grubą warstwą zalegał podłoże. Liście roślin stały się przezroczyste. Tam, gdzie nie prześwitywało, zieleń zastąpił brąz zgnilizny. Szyby zarosła warstwa glonów, która pochłaniała światło słońca. Maria patrzyła na to bez serca. Tylko z ciekawości, kiedy to wszystko się skończy i jak ten koniec będzie wyglądał.

Myślała o Józefie i Krzysztofie. Obwiniła się, że nie nauczyła ich tego, co w niej tkwiło i wierzyła, że jest dobre. Choć sama nie była pewna, czego ma uczyć, wierzyła, że jeśli poczuliby to samo co ona, byliby przy niej. Może wiedziała to wtedy, gdy tak bardzo się nie starała. Ale gdy zobaczyła, że Józef ją zdradza, a potem irytuje się bez powodu i wreszcie, gdy ją pierwszy raz uderzył, zaczęła się starać. Jeszcze przez jakiś czas pamiętała, jak to jest, gdy jest dobrze. Dlatego nie poddawała się. Ale im bardziej się starała, tym było gorzej. Zawsze sądziła, że była zbyt słaba, a Józef zbyt silny. Teraz okazało się, że oboje byli słabi. Wyglądało na to, że nigdy się nie poznali. Jakby zawsze żyli obok siebie. Nigdy ze sobą. Być może to ich zniszczyło. No i stracili syna, który teraz był nie wiadomo gdzie. Który poszedł gdzieś, a ona została sama i tylko w snach widziała jak syn do niej wraca i uśmiecha się tak szczerze, jakby ciągle był jej małym synkiem.

\*

Alek, choć nikogo to nie interesowało, też stąd poszedł. Jeszcze tylko na chwilę stanął pośrodku pola i zadał sobie pytanie, czy aby na pewno. Widział tartak, który przestał już być tartakiem, i dom Myśliwskich, jasne bruzdy dróg i niebo takie szerokie, że chciało się latać. Trochę dalej, na zakręcie, widział swój dom. Na zewnątrz wybielone mury, wewnątrz pusto. Bez kobiety, bez mebli. Jeszcze kapliczka z Błękitną Madonną, która była jak drzazga w oku, i pegeery, które aż tutaj cuchnęły biedą, i te pola. Taaak – pola. Wiatr na nich szumiał jak morze. Nawet ładnie tu było, to fakt, a jednak dla niego za duszno. Za duszno, bo za długo w jednym miejscu.

– Po co ja tu jeszcze siedzę? – pomyślał. – Wszyscy stąd idą, a ja co? Przecież zawsze chodziłem, gdzie chcę – i poszedł.

I było wszystko jak należy. Horyzont, zachód słońca, ciemna sylwetka na tle tego zachodu, która szła w stronę tego horyzontu i w końcu znikła gdzieś tam, gdzieś tam... Sama i bez słów. Bez myśli na zewnątrz. Dokładnie skończona w obrysie swojego ciała, które jak gąbka wchłaniało w siebie słońce.

(Daniel Odija – 2001/2002)